

Jan Kasrowicz

Liryka Teofila Lenartowicza

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 4/1/4, 149-204

1905

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



JAN KASPROWICZ.

LIRYKA TEOFILA LENARTOWICZA.

I.

Pierwsze występy Teofila Lenartowicza na niwie piśmienniczej łączą się z chwilą, kiedy twórczość polska wznosiła sobie na obcej ziemi nieśmiertelne pomniki.

Do kraju słabe twórczości tej dolatywały echa: wpływ wielkich poetów na pokolenie pisarzy, którzy owoce swych „natchnień” — mówię „natchnień”, ponieważ w katechizmie Zmorskich, Fillebornów, Ludwików Norwidów na wyraz ten zasadniczą kładziono wagę — umieszczali w czasopismach warszawskich około r. 1840, był nieznaczny.

Lapidarne hasło romantyki: „miej serce i patrzaj w serce” doprowadziło w utworach tych do przewagi uczuciowości wybujałej i sztucznej nad prawidłami rozumu¹⁾, broniącego wyobraźni od wrogich artystomowi rozwichrzeń.

„Gonitwa za światem prawdy nieśmiertelnej“²⁾ była i u tych naśladowców Mickiewicza z epoki „Ballad i romansów“, „Grażyny“, i „Wallenroda“ jednym z najgłówniejszych przykazań, tylko że poetyckie odbicie tej prawdy przybierało cechy jednostronne, objawiające się w zamykaniu przybytku sztuki dla pierwiastków, czerpanych z realniejszego życia duszy, na wyłącznem niemal uwzględnianiu czynników fantastycznych.

¹⁾ U Lenartowicza ślady takiej, w danym wypadku całkiem nieuzasadnionej reakcyi przeciw rozumowi znajdujemy pomiędzy innymi w „Pierwszem przedstawieniu Hamleta“.

²⁾ Roman Zmorski.

Mickiewiczowskie „czucie“ zmienia się w czułośćkowość, która i w młodocianych wierszach Lenartowicza niepoślednią odgrywa rolę.

Charakter tych pierwocin da się najlepiej określić wyrazem: „bajronistyczne“.

Jak wiadomo, zasoby wiedzy Lenartowicza w tym okresie bardzo były szczupłe, to też nie można przypuścić, aby „rozczerwanie do świata“, którego nie znał, aby „bezbrzeżny smutek“ i frazesowe „pragnienie miłości bez końca“, wyływało z bezpośredniego źródła, z rozczłytowania się w oryginalnych poematach Byrona; dalekie, a nieudolne odbicie ich ducha przypisać należy pośrednictwu autora „Huga“, „Mnicha“ i „Araba“.

Nie tylko w ogólnym nastroju, psychicznym, ale i w sposobie malowania szczegółów zewnętrznych nie trudno nam będzie dopatrzyć się w tych najwcześniejszych świadectwach muzy lenartowiczowskiej śladów poetyckich opowieści Słowackiego.

Kiedy w „Niemej modlitwie“¹⁾ mówi o „ciszy kościelnej“, o „złotych ołtarzach“ i o „marmurowych posadzkach“, o „białych filarach i grobach, drzemających w cieniach“ o „lampie, która gdzieś w dali nad krzyżem czarnym drżąc się pali“ — o tem, że „w kościele cisza, jakoby w marzeniach święci zasnęli“ i że „tylko czasem jakowy obraz promieni z wysoka, z poza ciemnego biegąc obłoka, przez szyby złotym owinie pasem“ — gdy potrąca o „światło grobowe, co muśnie promieniem Chrystusa głowę“, lub gdy napomknie o aniele, klęczącym u drzwi kościoła“, wówczas mimowoli stają nam przed oczami analogiczne, tylko pełniejsze, głębsze, bogatsze, rozrzutniejsze obrazy Słowackiego:

„Stał nieruchomy jako posąg z głazu,
Co strzeże grobów zimnego marmuru.
Tam coś mignęło? — nie, to błysk obrazu,
Co tak pozłotą odbija od muru.
Jakiś szmer słyhać? — to odgłos wyrazu
Cichej modlitwy, przyniesionej z chóru,

(„Hugo“)

Albo:

„Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,
Już nie pamiętam wrażenia tej chwili;
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana, jak niebo gwiazdami okryta.
Każda kolumna jak palma stepowa,
A pod jej stopą skała marmurowa.
Płomień, z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,

¹⁾ „Niema Modlitwa“. Biblioteka warsz. 1843.

A potem, w dymie kadzidel zblakany,
W mglistych błękitach utworzył anioła. („Mnich“).

Nie miał Lenartowicz w sobie pociągu do demonicznej grozy, stwarzającej w wyobraźni poetyckiej malowidła ponure i krwawe z punktem środkowym zdrady lub buntu. Co najwyżej lubował się w „jakichś widmach“, które „kołyszą rycerską pieśnią“, które „grają zdala“ i serce dręczą boleścią — w „jakichś dumkach mężów walecznych, stróżach ruin na zmroku“, co „w swoich trunach odwiecznych z mieczami śpią u boku“ — zaczęły przemawiać do niego już teraz „jakieś dziady z lutniami w ręku przy ogniach chaty wieśniaczej“¹⁾, to też nie dziw, że w tych dniach wykluwania się czynników twórczych, w naturze jego refleksyjnej parodia bajronizmu ustąpiła wkrótce miejsca wpływowi dwóch innych, Schillera i Mickiewicza.

Jednakże wpływ ten nie jest osamotniony, wyłączny, tworzy on ferment literacki z odbiciem wyobrażeń pseudoklasycznych, a poniekąd i klasycznych wraz z światem pieśni i podań ludowych.

W wspomnieniu swoim o Lenartowiczu²⁾ Karol Brzozowski opowiada, że pewnego razu zjawił się młody Teofil w domu jego ojca w chwili, gdy ten czytał „Wiesława“.

— Znalazłeś nas przy „Wiesławie“ — rzekł sędziwy żołnierz napoleoński, — to piękne i bardzo piękne, ale tu brak czegoś... czego, nie wiem, jak to nazwać, a to właśnie coś, proste, serdeczne, głębokie, leży w duszy naszego ludu. Gdyby to pomiędzy waszymi młodymi znalazł się taki poeta, któryby tem był dla naszego kmieckiego, wiejskiego świata, czem Pol jest dla szlacheckiego! A piękny to ten świat kmiecy! Czy cię ten świat, Teofilu, nie nęci swoją głębią? Jeśli już nie czujesz, to przeczuwasz jego duszę, powiedz, czy nie tobie być jego nieśmiertelnym poetą?

Nie wiem, czy apostrofa powyższa, której autentyczności nie myślę podawać w powątpiewanie, ale która wydaje mi się w tej formie literackiej upiększeniem faktu zapewne prawdziwego, rozstrzygnęła o kierunku późniejszym autora „Lirenki“. Zdaje mi się jednak, że nie ojcu Karola Brzozowskiego, lecz przedewszystkiem Wójcickiemu zawdzięczamy oryginalną w swoim rodzaju poezję, która, sięgnąwszy do gminu, wzorem Wolskich i Zmorskich nie obcowała wyłącznie z fantastycznymi płodami wyobraźni ludowej, z zielonowłosemi topielicami i boginkami, ale wydobyła na jaw z realnem życiem związane uczucia duszy chłopskiej.

Dwa z najwcześniejszych wierszy Lenartowicza: „Złota kaczka“³⁾ i „Strzelec“⁴⁾ wskazują wyraźnie na zbieracza i wydawcę „Klehd“

¹⁾ „Wspomnienie“. Bibl. warsz. 1844.

²⁾ Przewodnik literacki i naukowy. 1893.

³⁾, ⁴⁾ Bibl. warsz. 1843.

Pierwszy — to sparafrazowanie znanej wśród górali podhalańskich baśni o grocie Dunajcowej pod skałą Pisana w dolinie Kościeliskiej, w drugim, opartym na rozpowszechnionem w rozmaitych odmianach podaniu o karze, jaka spotyka ludzi, gwałcących niedzielę, przeniósł się poeta wyobraźnią swoją w turnie tatrzańskie.

Nie znał Podhala, więc baśń tę mógł słyszeć tylko od Wójcickiego, z którym, jak wiadomo, bliższe zawarł stosunki, a który na kilka lat przed przybyciem Lenartowicza do Warszawy zwiedził był Tatry.

W „Klehdach“ też swoich pomieścił podanie ludowe o skałach nad Morskiem Okiem¹⁾, wśród których rozgrywa się także akcja lenartowiczowskiego „Strzelca“.

Oba wiersze bardzo jeszcze słabe.

W „Złotej kaczce“ razi naczelne zaraz uderzenie jak gdyby w kawał drewna, nie zaś w klawisz czy strunę muzycznego narzędzia, jakim powinno być słowo poety. Morał w kształcie odpowiedzi na pytanie: „czy też prawda, że kiedyś źli ludzie będą dobrymi, jak nam ksiądz powiada“.

A dalej — silenie się na prostotę, rozbieżną z prostotą poetycką, chęć utrzymania się w tonie naiwnych gędzeń chłopskich rodzi zwroty, jak n. p. o gromnicy, której księdzu, przebywającemu w jaskini, „nie zgasiło, bo co inne świece to zawsze gasi“, albo wytwarza taki, nie prymityw w znaczeniu artystycznym, lecz, o nie-wprawności pendzla świadczący, bohomasz:

Wchodzę pod skałę... niby kościół jaki,
 Niby to pałac wielki jakiś taki
 Pięknie zrobiony; patrzę aż tu żywa
 Złociuchna kaczka w wodzie sobie pływa.

Młody poeta, debiutujący na łamach tak poważnego czasopisma, za jakie uchodzić chciała „Biblioteka warszawska“²⁾, pragnął

¹⁾ Klechdy, starożytne podania i powieści ludowe: Morskie Oko.

²⁾ Seweryn Filleborn, wytykający ówczesnej „Bibliotece warszawskiej“ brak poczucia poezji, opierał się na danych, które nieraz wszelkie przechodziły oczekiwania. Liche wiersze Lenartowicza są jeszcze złotem wobec takiego literackiego kruszcu, jak n. p. naśladowująca w rytmie znaną pieśń Słowackiego o Rzewuskim „Kuma“ Feliksa Wicherskiego (pomędzy innemi:

„Lecz nie wierz kobiecie! nie wierz nigdy w świecie,
 Gdy nie chcesz cierpieć później biedy:
 A wierz jej dobroci, co kwiatem paproci,
 Co rośnie dyabeł wie tam kiedy.

być barwnym, żywym, lecz, zamiast plastyki w obrazowaniu, dał ordynarne kleksy:

„Więc ksiądz jak zaklnie, a kaczka do wody
I już jej niema.... Czeka ją, czekają,
Ksiądz klnie raz drugi — coś jękło: słuchają,
Aż tu głos jakiś wychodzi z pod spody (sic!)“

Ani śladu lotnego wdzięku, którym tchną późniejsze, z wyobrażeń ludowych zaczerpnięte obrazki Lenartowicza.

Nieco lepszym jest dość czysty w rytmie i rymie „Strzelec“.

Wspominam o nim nie tylko z tej przyczyny, że wskazuje na dokonywające się w mózgu poety zawiązki nowego kierunku pod wpływem Wójcickiego, ale i dlatego, ponieważ *a*) w krajobrazie posiada znamiona, właściwe wogóle pejzażowi lenartowiczowskiemu: wyrazistość konturów, jednostajne ugrupowanie przedmiotów, przewagę szarego kolorytu — zatrzymałem się nad nim wreszcie z powodu, że *b*) w toku rytmicznym jest jakby oddźwiękiem ballad mickiewiczowskich:

„Czarne, spokojne patrzy Morkie Oko,
Góry go (!) w koło obsiadły,
A na gór szczytach, daleko, wysoko
Deszczowe chmury opadły.

Nad brzegiem stawu kamienie sterczą,
Świerkowe zielenią lasy,
A pod skałami ogniska skwierczą,
Przy ogniu siedzą juhasy.

Niżej po dołach z szumem się wali,
Spieniona rzuca się woda,
Dziarska, jak dusza owych górali,
Gdy w nich zakipi krew młoda“.

Jednakże wierzyłem i szczęśliwy byłem,
Aż wreszcie przyszła dola taka,
Że siostra biesowa odkryła co chowa (!!),
Puszczala tuman na kozaka“).

Albo drukowane w tym samym czasie ramoty I. D. M.:

„Sama jesteś, a wokoło
Każde serce tobie tchnie (!),
Wszystko każe być wesołą:
Więc nie jesteś sama, nie!
Tańczy przed tobą życia panorama:
Tyś nie sama!“

(„Biblioteka warsz.“ 1843.)

Obrazy powyższe wyglądają na *pendant* do zwrotki z „Świtezi“ :

„Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
A gładka jak szyba lodu“ —

albo do urywku z „Świtezianki“ :

„A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma. ---
Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca — —“

Wspomniałem powyżej o wpływie Schillera. W tej mierze znaczny przedstawia interes, jako próba stworzenia pewnego rodzaju filozofii sztuki, fragment dramatyczny p. t. „Rzeźbiarze“¹⁾. Nie mający w sobie nic dramatycznego, dyalog ten pomiędzy mistrzem a uczniem wzorowany jest w formie na „Pieśni o Dzwonie“.

„Pracujcie, bracia rzeźbiarze,
Aż marmur życie okaże;
Z bezkształtnych brył
Wyjść mają figury
Pełne życia, pełne sił!“

Inwokacja ta przypomina w tonie Schillerowskie:

„Frisch, Gesellen, seid zur Hand!
Von der Stirne heiss
Rinnen muss der Schweiss,
Soll das Werk den Meister loben...“

W sprawie treści:

U Schillera fizyczny proces odlewania dzwonu służy jako sposobność do ujęcia w jednolity obraz zwykłych wypadków życia naszego i osnucia tych wypadków przędzą refleksyi poetyczno-filozoficznych na temat zadań, które spełnia czy spełniać powinien człowiek. Rzeźbiarz Lenartowicza — analogon do „Meister'a“ z pieśni schillerowskiej, stojący przed bryłą gliny, której uczeń — „Geselle“ — ma nadać kształty plastyczne, korzysta z chwili, aby, podążając za motywami, zawartymi w „Artystach“ (Die Kuenstler“) poety niemieckiego, a po części i w jego „Ideałach“ („Die Ideale“), wypowiedzieć szereg uwag o zadaniach człowieka w zakresie ciaśniejszym, w sztuce. Równorzędnie znowu z „Pieśnią o Dzwonie“, obracającej się pomiędzy trzema głównymi etapami losów ludzkich: na-

¹⁾ „Bibl. warsz.“ 1844.

rodzinami, zaślubinami i śmiercią, uwagi te skupiają się około dziecięcia, młodzieńca i męża:

„Pracujcie nad dziecięciem,
Nad młodzieńcem i mężem“.

Wyrażone pod względem zewnętrznym niewprawnie, nie wolne od skażeń językowych, są one w treści majaczeniami, świadczącymi, że poeta nasz nie tylko nie posiadał wyrobionego sądu o istocie sztuki, ale że zaledwie przeczując doniosłość pierwiastków twórczych i wpływ ich na urobienie przyszłości ludzkiej, a właściwie nie dobrze rozumiejąc kopiowanego przez siebie Schillera, posługiwał się ogólnikami.

Jak u niemieckiego, tak i u naszego poety pythagorejska harmonia jest zasadniczym warunkiem sztuki:

„Schon sieht man Schoepfungen aus Schoepfungen erstehen,
Aus Harmonien Harmonie...“

„In selbstaendiger, jugendlicher Freude
Leiht er (der Geist) den Sphaeren seine Harmonie...“

„Sein Geist zerrinnt im Harmonienmeere“:

„Ale w ludzkich dziejach jeszcze
Nie było dotąd harmonii“.

Ku tej harmonii, uzmysłowionej w duchu rzeźbiarza, który

„Jako duch stwarza,
Co niekształtne, nieforemne,
Rozwala, rozbija,
Piękności szaty wdziewa,
Piękność wdzięków rozwija“

zmierzać mają twórcze usiłowania artysty, wybrańca bożego, który w rękę swym dzierży godność ludzką.

„Der Menschheit Wuerde ist in eure Hand gegeben,
Bewahret sie“...

mówi pieśniarz niemiecki;

„Der Dichtung heilige Magie
Still lenke sie zum Ozeane
Der grossen Harmonie“ — 1).

1) „Die Kuenstler“.

„Lecz kto pragnie wszystkim starczyć,
 Niech w sobie przyjmie duch boży (sic! zamiast: ducha
 Niech ludziom harmonię stworzy“ bożego),
 śpiewa Lenartowicz.

Do stworzenia tej harmonii potrzebne są artyście piękność,
 mądrość i siła.

„Pracujcie, bracia, rzeźbiarze.
 W wasze dusze wstąpiła
 Mądrość, piękność i siła.
 Niech się świat wasz ukáže
 Całą sztuki pięknością;
 W oczach anioła miłością,
 W oczach mędrca pojęciem,
 W ręku rycerza muszkulem...“

Dalej:

„Słońce mądrości niech świeci,
 Samo życie będzie siłą;
 Aby się nie rozłączyło
 Słońce z kwiatem, niech ukwieci
 Mądrość formę“

mówi rzeźbiarz lenartowiczowski, dając wskazówki uczniowi, jakie
 ma wyrzeźbić na twarzy rycerza; wspominając zaś o prawidłach,
 obowiązujących przy lepieniu postaci dziecka, dowodzi, że:

„Mądrość, siłę w tej dziecinie
 Zastępuje duch piękności,
 Co na ustach, licach gości,
 A w kim Boża piękność płynie,
 Ten jest silnym, mądrym wiecznie“.

Wreszcie:

„Także w mędrca to znajdziecie,
 Co w rycerzu i w dziecięciu:
 Piękność, jak kwiat, jak to dziecię:
 Mądrość w żądań tych pojęciu,
 Siłę da ich wykonaniu...“

Ustępy te są albo parafrazą, albo też niemal wiernem, lecz
 dość niezręcznym tłumaczeniem wierszy schillerowskich:

„Der Weisen Weisestes, der Milden Milde,
 Der Starken Kraft, der Edlen Grazie,
 Vermaehlet ihr (die Kuenstler) in einem Bilde
 Und stellet es in eine Glorie...“

.

„Was hier allein das trunkene Aug' entzueckt,
Dient unterwuerfig dort der hoeheren Schoene,
Der Reiz, der diese Nympe schmueckt,
Schmilzt saft in eine goettliche Athene,
Die Kraft, die in des Ringers Muskel schwillt,
Muss in des Gottes Schoenheit lieblich schweigen...“

Schillerowskie umiłowanie przyrody, jako źródła natchnień, ku której:

„Wie einst mit flehendem Verlangen
Pygmalion den Stein umschloss,
Bis in des Marmors kalte Wangen
Empfindung gluehend sich ergoss, ¹⁾

garnął się potęgą rozradowanych sił młodzieńczych i do wezbra-
nego żądzą twórczości przyciskał łona, póki w objęciu tem nie od-
żyła, umiłowanie to ma u Lenartowicza wykładnik swój w hasle:
„Życie!“

„Co najpierwej wywołać?“ pyta się uczeń,
„Życie...“ odpowiada mistrz;

„Życie obudzić; na żyjącej twarzy
Łatwo nam będzie dłótem piękność znaczyć;
Życie najpierwsze; w niem się wszystko żarzy“.

Przypisywanie zaś sztuce owej mocy, która dla świata „przy-
niesie koniec złemu“, która, gdy dzięki niej przyjdzie „ducha istnie-
nie“, sprowadzi „królestwo boże na ziemię“, odpowiada najzupeł-
niej wizji Schillerowskiej. Tylko że wizya ta, w wspaniałym zam-
kniętą obrazie:

„Erhebt euch mit kuehnem Fluegel
Hoch ueber euren Zeitenlauf!
Kern daemmre schon in eurem Spiegel
Das Kommende Jahrhundert auf.
Auf tausendfach verschlungenen Wegen
Der reichen Mannigfaltigkeit
Kommt dann umarmend euch entgegen
Am Thron der hohen Ewigkeit!
Wie sich in sieben milden Strahlen
Der weisse Schirmer lieblich bricht,
Wie sieben Regenbogenstrahlen
Zerrinnen in das weisse Licht,
So spielt in tausendfacher Klarheit
Bezaubernd um den trunknen Blick,
So flisst in einen Bund der Warheit,
In einen Strom des Lichts zurueck“

¹⁾ „Die Ideale“

niezbyt świetnego znalazła w Lenartowiczu naśladowcę czy tłumacza:

„Czy to przyszłe duchy pieją,
Gdzie wiek będzie pochowany?...

• • • • •
Czy widzisz tęczę na górach
I chmury w ziemi waporów
I promień słońca na chmurach?
To gra cudowna kolorów
To tylko życie człowieka...

• • • • •
Więc gdzie piękność, gdzie kraj cudów:
W przejściu, nowych dni poczęciu...
Ludzkość cała w niebowzięciu...

• • • • •
„... ja czuję, że zawłada
Mój ideał całym światem...“

Zatrzymałem się nieco dłużej nad „fragmentem dramatycznym“, ponieważ, o ile znam literaturę Lenartowiczowską, nikt nie wskazał na te wybitne ślady wpływu Schillera, jakkolwiek badaczom romantyki naszej nie trudno byłoby oddziaływanie to wykazać choćby dla analogii z pierwszemi poezjami Mickiewicza („Pieśni filareckie“, „Oda do młodości“, „An die Freunde“, „Die Freundschaft“); teraz wspomnę już tylko o „Laokonie“¹⁾, w którym duch mickiewiczowskich dytyrambów z „Ody do młodości“ zlewa się w sposób dość zręczny z reminiscencyami świata starożytnego, i rozdział niniejszy zamknę wzmianką o najwybitniejszym z tej młodzieńczej epoki warszawskiej utworze, o „Wierszu do Poezyi“²⁾.

Wzmianka zaś należy mu się przede wszystkim dlatego, ponieważ rodzicowi swemu niemały zyskał rozgłos, a właściwie pierwszy z wszystkich dotąd drukowanych zwrócił nań uwagę szerszego ogółu.

Zresztą wiersz ten dowodzi może najbardziej, że Lenartowicz w owym czasie nie miał ugruntowanych pojęć artystycznych, bo gdy w innych jego pracach z tego samego okresu drgały przeciągnięte struny spalonego romantyzmu, lub, chociaż słabo, przebłyśkiwać jeły pierwiastki ludowe, to tutaj, tak samo, jak w „Laokonie“, spotykamy się z zaznaczonymi w jednym z poprzednich punktów wyobrażeniami klasycznymi.

¹⁾ Wiersz ten, drukowany po raz pierwszy w „Bibl. warsz.“ 1844 t. IV, pomieścił prof. Bruchnalski zgodnie z życzeniem poety w sporządzonym przez siebie wydaniu pism Lenartowicza.

²⁾ „Bibl. warsz.“. 1844. t. III.

„Wiersz do Poezyi“ wygląda raczej na opracowanie szkolnego tematu; nie odznacza się ani siłą uczucia, ani świeżością obrazowania. Konwencjonalizm zarówno w formie, jak w treści. Posiada w sobie coś z ody horacyuszowskiej, albo też z pseudoklasycznych kanzon akademików florenckich, którzy umieli wprowadzić podstępnie tryskające uczuciem rypetty i strambotty tokańskiego ludu, ale w których misternie rzeźbionej, kryształowej formie uczucie to tężało w regularne a zimne kryształki.

Przedmiot sam, „poezya“, pomimo swej abstrakcyjności, nadaje się do ujęcia go w kształty uchwytnie. Można na jego cześć wysławiać hymn natchniony, jak to uczynił Mickiewicz w „Wallenrodzie“ z ową arką przymierza, pieśnią gminną, i jak to później sam Lenartowicz odnośnie do tej pieśni ludowej pokazał¹⁾. Wiersz zaś, o którym mowa, jest w rzeczywistości — wierszem, należy do tej samej kategorii, do której zaliczyć się dadzą owe epitalamia, urzędowe trenodye i aż do zbytku oklepiane „pochwały“ poprzedniej epoki.

Trzy szczególnie cechy dostrzega autor w „Poezyi“, mianowicie, że jest „matką“, „wiarą“ i „prawdą narodów“. Trójcy tej użył on też jako punktów wytycznych, około których obraca się jego ściśle odważona, wyrozumowana „pochwała“, podobna do płomienia, wykutego w gładzie. Poezya jest „matką narodów“ i jako taka, ukazawszy im się z mieczem i w zbroi hartownej, rozwiawszy na wiatr swój sztandar śnieżny, roznieca w sercach zapał szalony, pchając rycerzy do boju... Gdy w zapasach upadnie bohater, wtedy schodzi ona ku niemu i wkłada mu wieniec chwały na głowę, aby śmierć miał wesołą. Zimne duchy zapaliwszy ogniem, obala tłumy niezwyknięte i ludy zbawia cudem. Poezya męczennikom stawia przed oczy obrazy lepszego świata, obrazy boskich krain weselnych, za katusze życia światłość bez końca i dlatego jest „wiarą narodów“. W charakterze zaś „prawdy narodów“ spojrzenie swoje rzuca na wybrańców, że świecą na wieki, dłońmi wiąże szermierzy „w czas ślubnych świata obchodów“, a ich duchy stawia w ołtarzu.

Ze streszczenia tego widać, że środki, użyte przez autora, zapożyczone są z arsenału poezji pseudoklasycznej, a składają się na całość, pomimo pozorów gorącego uczucia, skostniałą.

Ujemne to wrażenie potęgują ponadto epitety, nadawane opiewanemu przedmiotowi. Poezya to więc córka słońca, białoramienna dziewica, odziana w szaty anioła, albo, jak Bellona czy Pallas Athene, w hartowną zakuta zbroję.

Jak przeważna część wierszy, ogłaszanych przez dwudziestoletniego młodzieńca w czasopiśmie warszawskich, w „Przeglądzie naukowym“, w „Nadwiślaninie“, w „Jaskółce“ Filleborna, „Biblio-

¹⁾ „O pieśniach gminnych“.

tece warszawskiej“ etc., tak i ten elaborat nie był wpływem żywego natchnienia, bezpośredniego obcowania z tymi przemagającymi żywiołami, które stworzyły prawdziwą jego poezję: obcowania z ludem i otaczającą go przyrodą, ale raczej świadectwem zainteresowania się echami rozmaitych walk literackich, szukania drogi ujścia swojemu zapałowi dla pracy twórczej.

II.

Jedną z największych zasług romantyzmu dla kulturalnego rozwoju naszego było obudzenie potrzeby zapoznania się ze skarbami, drzemiącymi w mało dotąd znanem, dla klas inteligentnych nieomal tajemniczem łonie życia ludowego. Za Chodakowskim poszedł szereg innych miłośników gminu, rozkopujących dawne grodziszczu, zbierających jego pieśni i podania.

To zajmowanie się ludem nie było tylko modą u nas, ani też wynikiem prądów literackich. Idąc za wskazówkami konstytucji Trzeciego Maja i powstania Kościuszki, że już nie sięgnę w dalsze wieki, w których upośledzenie ludu znajdowało płomienny wyraz w naszej literaturze politycznej — zwracano się do warstw chłopskich z wewnętrznej potrzeby szukania nowych soków ożywczych dla pragnącego odrodzić się społeczeństwa.

Wpływ prądów literackich byłby się może ograniczył do stworzenia sielanki w tej lub owej formie, tymczasem nasza poezya z tej epoki, wykarmiona pierwiastkami ludowymi, przybrała prawie od razu charakter społeczny w kierunku demokratycznym.

Goszczyński ¹⁾, Berwiński, Wolski ²⁾, Olizarowski etc., z których niemal każdy zajmował się zbieraniem klechd i podań gminnych, tworzyli poematy, nie tylko malujące nędzę chłopa, ale, w tym czasie rewolucyjnych wrzeń socyalnych na Zachodzie, występujące nieraz bardzo namiętnie przeciwko szlachcie.

1) Po roku 1840 autor „Zamku Kaniowskiego“, uległszy wpływowi towiańszczyzny, wyrzekł się już zasad demokratycznych, jako „zgubnych obłąkań, które pod świętymi pozorami wolności, życia, szczęścia ludów, nie są niczem innym w istocie swojej, tylko ubóstwianiem siły materyalnej, interesu materyalnego, jednym słowem, materyi, która jest śmiercią, na przygnębienie ducha, który jest życiem, a przez to prędzej lub później zniszczyłyby wszystko, co jest wielkie, święte na ziemi, zabiłyby ludy w ich duchu...“

2) „Ojciec Hilary“ jest manifestem antyszlacheckim; to samo da się powiedzieć — mutatis mutandis — o librecie do „Halki“, natomiast powstała po rzezi galicyjskiej powieść poetyczna „Połóska“ posiada już tendencye pojednawcze.

I w najbliższym otoczeniu posiadał Lenartowicz przyjaciół, wśród których wrzał kult pierwiastków rodzimych¹⁾ i ludowych. Im też i wogóle głębszemu wniknięciu w prądy, nurtujące w ówczesnym społeczeństwie, zawdzięcza autor „Lirenki“ charakter swojej poezji.

Ale bodźce miał on nie tylko w ludziach inteligentnych, jak choćby Wójcicki, nie tylko w rozczytywaniu się w klechdach starożytnych, lecz znalazł je także w bezpośrednim zetknięciu się z gminem.

Od wczesnych już lat w nieszczególnych żyjąc stosunkach rodzinnych, wałęsał się po polach pośród „gęsiarków i koniopasów“²⁾, u nich też szukać nam trzeba początków miłości ludu, której tak piękny w utworach swoich zbudował pomnik.

Teraz wrażenia te zaczął odświeżać; w gronie przyjaciół bujał na nowo po lasach i polach, z książką tego lub owego poety w rękę, z żądzą zespolenia się z przyrodą ojczystą i ludem w sercu³⁾.

1) Jak silnym był kult rodzimości i ludowości w poezji u niektórych pisarzy ówczesnych, dowodzi głośny artykuł Seweryna Goszczyńskiego, umieszczony w krakowskim „Powszechnym pamiętniku nauk i umiejętności“ (Leona Zienkowicza). W artykule tym p. t.: „Nowa epoka poezji polskiej“, autor surowo potępiwszy romantyków razem z Mickiewiczem, jako uległych wpływowi angielskim i nie mieckim, gorąco wzywał „poetów rodaków“, ażeby „wyklęli wszelką obczyznę“, odłączyli z naszej literatury mieszaninę europejską, pokazali literaturę świata w całym jej blasku rodzinnym“. „Alboż to mało poezji na naszej ziemi — pisał — w naszych dziejach, w istocie narodu naszego? Zbliźmy się tylko do niego, zanurzymy się w jego glebie, poznajmy wszystkie tajniki jego wnętrza, a na każdej stopie tej ziemi, w każdym wierszu tych dziejów, pod każdym odcieniem znajdziemy osnowę najszczytniejszych utworów, przedmioty, godne największych artystów...“ A dalej: „jeśli wam polskich rzeczy za mało, to ogarniajcie, wyczerpujcie całą słowiańszczyznę; słowiańszczyzny wielkie pola, sławne dzieje, a wtedy rozlewajcie się sobie na świat cały...“

2) Cfr. „Listy Lenartowicza do Ksaw. Mroczi“ w artykule p. Pawła Bryły w „Sprawozdaniu dyrekcji c. k. gimnazjum w Stanisławowie“.

3) „Lenartowicz, Zmorski, Wolski, C. Norwid, Morzkowski M., Niewiarowski Aleks. i ja“ — pisze Karol Brzozowski w „Przewodniku naukowym i literackim“ r. 1893 — „byliśmy tymi kochankami muz, co, pełni życia, uroku młodości, silni wiarą i nadzieją, lubili bając i śpiewać, jak ptactwo wiosenne po lasach... Cokolwiek wyszło z pod pióra wielkich, żyjących za granicą wieszczów naszych i przedrzeć się mogło przez kordon rosyjski, to z pewnością było w rękach naszych. Z jakim to zachwytem, z jakim zapa-

Zapuszczał się w bliższe i dalsze okolice Warszawy, nad brzegi Narwi i Bugu, zaglądał na nowo do chałup chłopskich, które był przed kilkunastu opuścił laty.

I nie było przedmiotu w tem państwie swojskiej przyrody, któryby nie przeszedł potem do jego pieśni. Stary dąb, zgarbiony nad wodą, niewiasty, bielące płótno na brzegach, bociany, stąpające po łąkach, obłoki, jak „runo słońcem przesiąknięte“, przesuwające się po niebie; rybitwy i kuliki, kołujące nad błękitami rozniebieszczonej królowej rzek polskich, łodzie flisowskie, jak cyranki szare, a za nimi tratwy i galary, pszenicą ładowne, płynące po falach, wśród szumu wioseł i krzyku i śmiechu; zawodząca nuta wiejskiej dziewczyny, leżąca po rosą zlanych dolinach; woń żywicy z borów pobliskich, brzęk pszczoły, echa pastuszych ligawek lub dzwonka, dolatującego z wiejskich kościółków, pieśń skowronczana, kukanie kukulki i gwizd wywilgi ¹⁾ — oto żywioły, które nieprzepartą ujarzmiły go siłą i oryginalną, dotychczas niebywałą stworzyły poezyę.

Na nowo zaglądał do zapadłych kątów, pomiędzy Kurpie, gdzie:

„Szumi bór, szumi las,
 Sosna rośnie smolna —
 Zboża nic, piasku w pas,
 Ale dusza wolna ²⁾).

„Od Pułtuska do Myszynca dziadowskie przeszedł morze“ ³⁾; obbleciał „Kurpie Gocie, przy ogniskach z nimi gwarzył i jako ptak na przelocie, uzbierał, co Bóg zdarzył“; „pobratał się z uśmiechem z narobioną Kurpia dłonią“ i „nadziei coś zachwycił, co prowadzi wprost do czynu“. Zagrzebywał się znowu w puszczech, gdzie w dniach dzieciństwa „młody, rzeźki, jak stajenne jakie źrebę, po tej Narwi, po niebieskiej, jak po drugim pływał niebie“, gdzie „znajoma mu była każda steczka“, gdzie ongi, wypędzany przez podchmielonego ojczyma ⁴⁾, z „chłopakami nocną dołą ponad Nar-

łem czytaliśmy „Pieśni Janusza“ lub wygłaszali z pamięci utwory z „Dziadów“, z „Przedświtu“, z „Pieśni o ziemi naszej“, a czasem i z nas któremu z serca wyrwała się gorąca improwizacya, rzucona w powietrze ojczyste, które młoda pieśń nasza pełnemi chwytala płucami“. W „Listach o Adamie Mickiewiczu“ Lenartowicz opowiada, że w dzieciństwie świetne wrażenie wywierał nań Mickiewicza wiersz „Do matki Polki“ (Cfr. list z 18 czerwca 1874).

¹⁾ „Jak to na Mazowszu“.

²⁾ „Kurpie“.

³⁾ „Coś tam o Kurpiach“.

⁴⁾ List Teof. Len. do Ksaw. Mroccki; z Florencyi dn. 25 grudnia 1881 (Paweł Bryła w Sprawozd. dyrekcji c. k. gimn. w Stanisławowie).

wią konie pasał¹⁾ i „po karczmach z nimi hasał”; gdzie lud — „starce, jakieś święte Marki, a niewiasty święte Anny” — „żyje boskim cudem, jak po zimie się odmładza, w pokolenia się rozradza” i zawsze wierny jest Polsce; gdzie pieśń, towarzysząca żołnierzowi, w Sybir gnanemu, leczy rany serca; gdzie „tylko mogli coś przybywa”, „gdzie łza upada i zasycha”¹⁾.

A dziwna to pieśń, która nad temi unosi się mogliłami.

Słuchając jej, wykąpanej w rosie, świeżej, jak ten zagon z rana, „rośnie dusza, gdyby ziele” i tak się rozradowuje, że zdaje się człowiekowi, jak gdyby ta ziemia, po której łanach pieśń ta, niewiadomo jak, leci, była krainą, płynącą mlekiem i miodem, a przecież na niej „tylko jest krwi i tyle jest łez”, że to „ziemia obiecana” „gdzie w krwi broczą po kolana”.

Nie wiadomo, jak pieśń ta leci i skąd się bierze. Czy fruwa, jak ptaszę ponad stawem, czy mknie, jak głos, ginący w przestworzu: dość, że „obiega całym światem”, że „zabrzęknąwszy dzisiaj w polu, jutro już-ci na Podolu”, że „obleciawszy całym krajem, już się wdzięczy nad Dunajem”, klaszcze w borze mazowieckim lub po karpackich pnie się górach. Nikt przed nią nie ustrzeże swych progów, dojdzie ona do najdalszych braci. Za dnia, jak skowronek, ulatuje ponad zagonami, rwąc duszę za sobą, a gdy zgaśnie słońko boże, chwilkę się jeszcze na pagórkach i wodach pożali, a potem spadnie na smugi i schroni się do chałup, pomiędzy dziewczęta, siedzące przy kołowrotku. Tutaj, w długie wieczory i noce, błyszczą im jako gwiazda, albo otacza je zmrokiem smutku, tańczy z szczęśliwymi, ze smutnymi smuci się, albo im wlewa otuchę. Tutaj melodyjnym językiem niesłychane opowiada im dziwne — o tej pani, co zabiła pana i, aby zatrzeć ślady swej zbrodni, zasiała na grobie rutkę i lilję, ale krew ludzka woła o zemstę, rutka i lilja zdradzają przewinę. Tutaj przywołuje im na pamięć oną wierzbę, co wydała siostrę niedobrą: będzie ona słodkie piła winko, śmiać się będzie do rozpuku, ale głos fujarki, wykręconej z owej wierzby, zagłuszy jej śmiech, zakłóci gody weselne. „Starsza siostra mnie zabiła” — nuci ligawka i włosy staną na głowie pannie młodej, a lica družek błądź pokryje — rozpierzną się, a za niemi płynie smutny jęk fujarki:

„Starsza siostra mnie zabiła!
Smutku wiele, bardzo wiele!...”

Albo pieśń ta dawne opowie im dzieje o krwawej koszuli dzieciobójczyni, albo o tym koniu siwym, co na grobie pana swego, poległego w ciężkim boju, nóżką grzebie i żałuje, i żałuje...

„I tak w kolej, aż do zorzy,
Póki oczu sen nie zmorzy,

¹⁾ „Coś tam o Kurpiach”.

Wciąż się pieśń przewija słodka,
Jak to kółko kołowrotka...“¹⁾

Wiersz „O pieśniach gminnych“, powyżej w głównych podaniach zarysach, można uważać za syntezę poezji Lenartowicza wogóle.

Bardzo wiele motywów, w wierszu tym zawartych, posłużyło do osobnych poemacików, dźwięczących tą samą jednostajną muzykalnością w formie, owianych tym samym cichym smętkiem w treści, mimo akordów na pozór wesołych.

To bezpośrednie obcowanie z przyrodą i ludem wiejskim, któremu to obcowaniu zawdzięczał wszystkie liryczne składniki swej muzy, wyrobiło w nim także miłość życia ubiegłego, popchnęło go do wciągania w zakres swojej twórczości pierwiastków dziejowych, przyczyniając się niemało do uchronienia poety od nienawiści klasowej, od plwania na przeszłość narodu ze stanowiska demokracji, pozwalając mu natomiast życie dzisiejsze łączyć w jednolitą, nieprzerwaną ciągłość z wiekami na pozór przebrzmiałymi.

Urok wspomnień historycznych działa zawsze na umysły subtelniejsze, wrażliwsze, a głębsze, choćby umysły te, przejęte socjalnymi czy politycznymi hasłami chwili bieżącej, widziały w przeszłości zjawiska potępienia godne. Urok to ukrytej gdzieś w przestworzach nieśmiertelności zbiorowej — najskrajniejszy indywidualista nie będzie w stanie tak się wyodrębnić z pośród ogółu, aby się w pewnych momentach nie czuć jego częścią — nieśmiertelności, wytwarzającej nastrój, który jest jak gdyby dalekiem, sensem przypomnieniem żywotów wspanialszych i tęsknotą za nimi, żądzą oderwania się od rzeczywistości dzisiejszej i stworzenia poza jej granicami warunków bytu nowego.

Urok ten ogarnął Lenartowicza w ziemi wielkopolskiej, u kolebki Piastowej.

Strony nadgoplańskie, które Słowackiemu posłużyły za tło do „Balladyny“ i „Lilli Wenedy“, sennie, a urodzajne równiny, pozbawione lasów, gdzie w okręgu kilku mil oko swobodnie hulać może, ześrodkowując źreniczne promienie na starej wieży kruszwickiej, opiewanej przez współczesnego Lenartowiczowi poetę, Ryszarda Berwińskiego („Mysza Wieża“²⁾), tym dzisiaj jeszcze potężnym kolosie, sterczącym na wyspie, oblanej falami historycznego jeziora, niezwykle na nim, a błogie wywarły wrażenie. Wyraz tego wrażenia znajdujemy w przypisku do „Starych zbroic“, cyklu poematów legendowo-historycznych, których ideowego i uczuciowego poczęcia szukać należy nad Gopłem. „Nie była to radość“ — mówi Lenartowicz — „z oglądania miejsca, ale podobna do tej, jakiej doświadczamy, kiedy po długich latach wygnania do kochającej powracamy

¹⁾ „O pieśniach gminnych“.

²⁾ Myszą wieżę opiewał także Franciszek Morawski.

rodziny; jakieś nadziemskie szaleństwo dziecinne ogarnęło mój umysł; zapomniałem, iż za kilka dni będę zmuszony opuścić ziemię ojczystą, ścigany surowością pruskich przepisów, nie pozwalających pobytu żadnemu z polskich wychodźców w Księstwie; nie myślałem o tem ani na chwilę, serce kołatało jak nigdy, jak chyba podobnie w kościele częstochowskim przed obrazem surowej twarzy Matki Zbawiciela, tylko że tam zanośliem się od łez, kiedy tu zdawało mi się, że na łonie błogosławionych odpoczywam. Kmieć polski i historia jego rodu, historia kmiecio-polska, oszołomiły mi serce i głowę tak, że wobec współziomków nie mogłem słów odnaleźć do zwyczajnego użytku i byłem, jak upojony miodem dawnych wieków, szczęśliwy, jak nigdy już potem...“

Nie znalazł wprawdzie, jak pisze w jednym z swych listów, pomiędzy ludem kujawskim żywych tradycji czasów Piastowych; legendowe dziejów Popielów, patryarchalny Piast, na postrzyżynach ugaszczający posłów bożych; zaślubiny Mieszka „z dziewanną półczeskich“, Dąbrówką; chrzest narodu, burzenie świątyni Lelowych — wyrły się w pamięci ludu tylko za pośrednictwem literatury popularnej z czasów stosunkowo niedawnych — samo jednak zetknięcie się z temi prastaremi dzielnicami musiało mu przed oczy postawić i do olbrzymich, a tajemniczych powiększyć rozmiarów przywiązane do miejsc tych, znane mu z ksiązek legendy. Wsi okoliczne, osnute ciemną powłoką dawnych dni: Mątwy, nad rzeką tego nazwiska, Krusze, Tupadły, Ludziska, Przedbojewice, Szarlej, Kościelec, Płowce, z ich polami, na których liczne wznoszą się mogiły, gdzie dzisiaj jeszcze wyorują kości i resztki broni, musiały mu przywieść na pamięć ową przeszłość zamierzchłą, w której krew maciła się z wodą, w której kruszyły się miecze na karkach nieprzyjaciół, w której zbrojne „tu padły“ zastępy; musiały mu przypomnąć późniejsze walki ze „złym Krzyżakiem“ i „czarnym Szwedem“, oraz bratobójcze zatargi dumnego z królem magnata ¹⁾.

¹⁾ Nie podobna przypuścić, aby pp. Trzcinińscy z Ostrowia nad Gopłem, u których wówczas bawił Lenartowicz, nie zaznajomili go ze znaczeniem tych miejsc historycznych. — I melancholijny krajobraz kujawski wrył mu się widocznie w duszę, gdyż wierne odbicie tego pejzażu znajdujemy w wierszu „Mazur za wołami“:

„Mają zboża Kujawy,
Mają łąki na paszę:
Ale gdzie im bór ćmiawy,
Takie lasy, jak nasze.

Oj Bachorza, Bachorza,
Same błota i trzciny,
I jeziora, jak morza,

Echa tych prastarych, ossyanowskich — możnaby powiedzieć — szczęków i zgrzytów, dźwięków i grań bojowych odbiły się też w nastroju jego liry („Ze starych zbroic“), dowodząc magicznego oddziaływania przeszłości na tę szlachetną, lepszej przyszłości żądną naturę...

III.

Poezya, wyrosła na niwie, przesyconej takimi, z przyrody i ludu płynącymi wrażeniami, zawarta w strofach „Szopki“, „Lirrenki“, „Błogosławionej“, „Zachwyconej“ — o te, jako najbardziej charakterystyczne, głównie mi chodzi — entuzjastycznego doznała przyjęcia. Nazywano utwory te „arcydziełami literatury naszej i nie naszej nawet, bo w nich jest ta biała korona sztuki, która, im łatwiej wygląda w formie, tem trudniejszą jest w istocie. Inni, przesyleni mesyjanicznymi i tytanicznymi płodami ówczesnej literatury naszej, odetchnęli swobodnie, słuchając tego czystego i prostego głosu natury. Nietylko Warszawa, ale i kraj cały czytał je z uwielbieniem. Około roku 1854—7 prawie zapomniano o wszystkich innych poetach, przenosząc nad nimi Lenartowicza; sam nawet Mickiewicz w swojej pomnikowej wielkości jakby usunął się na stronę i, spokojny o swą przyszłość, słuchał, jak Lenartowicza nazywano pierwszym poetą!¹⁾

Najgłówniejszą cechą tej poezji jest, obok niezwyklej dźwięczności w rytmie, naiwna prostota, w krajobrazie uwydatniająca się jednostajnością konturu i barwy.

I doliny, doliny.
Gdzie się człowiek obróci,
Wszędzie serce zasmuci...“

¹⁾ „Tyg. ill.“ 1861. — Zapał ten był oczywiście przesadny, boć „lirnik mazowiecki“ nie mógł iść w zawody nie tylko z żadnym z owej wielkiej trójcy, ale i inni współcześni mu poeci mniejsze miary, niż piewca „Dziadów“, twórca „Irydiona“ lub śpiewak „Króla-Ducha“, poeci jak np. Goszczyński, lub jego antypoda, Syrokomla, mogą w tej duchowej szermierce dotrzymać mu placu, a pod pewnym względem zwłaszcza, niedoceniony u nas Goszczyński, nawet go prześcigają. Był jeden tylko pieśniarz, z którym Lenartowicz rywalizować mógł na seryo, zwłaszcza, że z nim najwięcej posiadał punktów stycznych, zarówno co do istoty poezji, jak i metody ujmowania wrażeniowych jej pierwiastków w formę artystyczną, mianowicie Bohdan Zaleski. Za młodych lat — jak opowiada w „Złotej Przędzy“ ś. p. Piotr Chmielowski — Lenartowicz bał się najbardziej współzawodnictwa Włodzimierza Wolskiego.

Przypatrując się pejzażowi lenartowiczowskiemu, spostrzegamy zaraz na pierwszy rzut oka, że poeta nasz pozbawiony był niemal zupełnie zdolności przedstawiania swych wrażeń za pomocą b a r w y.

Paleta jego posiada zasób farb ogromnie ubogi: najczęściej mamy kolor złoty, służący do określenia przedmiotów, daleko częściej martwych i alegorycznych, niżeli wziętych z żywej przyrody.

Powtarzają się więc złote szaty, złote pancerze i złote korony, złote litery, złote liście, złota kora i złote owoce rajszych jabłoni; poza tem złości się zorza, cała kraina złotem malowana, złote świecą gwiazdy lub złocą się wody.

Nie omyle się, twierdząc, że pod tym względem kolorystyczne ubóstwo Lenartowicza schodzi się zupełnie z pieśnią gminną, w której barwa złota ma przewagę nad wszystkimi innymi, a ma ją dla tego, ponieważ symbolizuje w sobie niedościgniony ideał ludu w ciężkiej, nadmiernej walce o chleb powszedni. W obiegu targowym złoto najkosztowniejszym jest kruszczem, to też prosta, z natury rzeczy materyalnemi pożądaniami nasycona wyobraźnia ludu koloru tego kruszczu używa do określenia wartości także skarbów idealnych, sercu chłopskiemu najdroższych.

Pod względem ilościowym dotrzymuje placu kolorowi złotemu kolor błękitny, stosowany do przedmiotów, które już w swej istocie barwę tę posiadają, są z jej pojęciem nierozłączne. Jest to stosowanie frazesowe, nie wynikające, jak na obrazie być powinno, z stosunku przedmiotu do oświetlenia w tej lub owej chwili. Błękitną będzie u naszego poety każda toń, staw, morze, niebo, poranek, który rzadko bardzo zmienia się w siny („Czapłę zabił dla ciebie, gdy leciała we chmurze sinem ranem na niebie“), albo w różowy; rzeka—Wisła przeważnie—niemal zawsze jest modrą, rzadko niebieską (Narew w wierszu: „Coś tam o Kurpiach“), drzewa zielone, zimą brylantowe, bór ciemny lub émawy, brzegi stawu czy rzeki zielone, czasem płowe („Narwi, Bugu płowe brzegi“), rosa biała, lilja biała, róża czerwona i t. d.

U Mickiewicza każdy obraz żyje mnogością barw — np.:

„A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody;
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznicę, jakby w koralów paciórki.
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury“.

Analogicznego malowidła u Lenartowicza prawie że nie znajdziesz, a tem mniej obrazu, w którymby twórca uwzględnił nie tylko lokalne barwy przedmiotu, ale stopień siły ich uzależniał od oświetlenia.

Czasem usiłuje poeta nasz wywołać pewien potrzebny mu nastrój za pomocą plamy barwnej, powstałej z nagromadzenia jednego koloru:

„W szczerem polu, na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłonią,
Złota kora pod liśćcami.
Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę,
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę“¹⁾.

Przeważnie zaś zadowala się proporcjonalnem ustawieniem przedmiotów, których barwy albo wcale nie określa, albo je — nie ozdobi, lecz zaopatruje w kolory, w danej, od światła zależnej chwili nie indywidualne, lecz stereotypowe:

„Po drodze stare
Stoją chałupy,
Nad niemi dymu
Ciagną się słupy“.

Albo:

„Kościół za wioską
Z czerwonej cegły;
Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły“.

Lub obraz równorzędny, w którym użycie barwy lokalnej jest również czysto mechanicznem, jakkolwiek — dzięki wzmiance o słońcu — nasunęłaby się poecie-kolorystyce potrzeba nadania barwom — w danym wypadku czerwonej i żółtej — właściwości, zależnych od tego słońca:

„W ogródku lilja
I mak czerwony,
Słonecznik żółty,
W słońce zwrócony“—

A jednak krajobrazy Lenartowicza, wyglądające nieraz na zwykłe wyliczenie przedmiotów, żyją; jest w nich coś, co nas pociąga, jest w pierwszym rzędzie kształt, jest poczucie formy, jest zdolność takiego, na oko bardzo prostego, ugrupowania poszczególnych kształtów, aby tworzyły obraz.

¹⁾ „Złoty kubek“.

Lenartowicz miał niewątpliwie sporo zmysłu plastycznego, który go też popchnął do zajmowania się rzeźbą, a poza tem tkwiło w nim dużo pierwiastków muzycznych, które w pejzażach jego pociągający wytwarzają nastrój za pomocą środków bardzo prostych, bardzo pojedynczych.

„Tam brzoza biała
Włosy rozwiała,
Tu olchy błotne
Rosną wilgotne.
Noc wonna, cicha,
W liściach wiatr wzdycha.

A drzewa! drzewa
Ludziom podobne;
Bezlistne, zmokłe,
Jakieś żałobne,
Czarne w niebiosa
Wznoszą konary,..“

(„Mały świątek“).

„Tu i owdzie chateńka,
Schludna, chociaż maleńka,
A przy chacie, przy onej
Owdzie dąbek zielony,
Owdzie od wierzby starej
Suche szumią konary.

(„Grajki wędrowne“).

Umie też poeta w krajobrazy swoje — zwykle senne, rozmazane — wprowadzać ruch:

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocąc wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się to niżej, to wyżej,
Nad czystą, jak kryształ, rzeczulką,
A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
Pasa się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce
I słońko przygrzewa w poranek“.

(„Wiecznie to samo“).

W krajobrazie tym jest prawda; przelewa się z niego wiosenne na nas powietrze, świeci ku nam słońce, widzimy jaskółki, widzimy pastucha i jego „krówki“.

Życie krajobrazów tych, acz pozbawionych niemal zupełnie barwy, przypisać należy jednemu jeszcze faktowi:

Poeta, jakkolwiek wiedział, że składniki jego pejzażów, przedmioty, ściśle z naszą zespolone wyobraźnią, te nieba, rzeki, lasy, wioski rodzinne, zboża, drzewa, same przez się, przez zwykłe ich wymienienie w odpowiednim ugrupowaniu i powiązanie ich melodyą wiersza, muszą w nas wywołać nastrój, usiłował nastrój ten spotęgować przez większe jeszcze spokrewnienie składników tych z nami, przez nadanie im duszy ludzkiej, przez stworzenie wewnętrzno-ego związku pomiędzy nimi a człowiekiem.

Wszystkie te żywioły żyją życiem człowieka, cieszą się z nim, albo się smucą, śmieją albo płaczą, pomagają mu w pracy, albo owocami swymi darzą go za trudy. „Skowronek orze, a przepiórka pogania“ („Mazur za wołami“), albo przypomina, wołając: „pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“, że czas już zabrać się do żniwa. Śpiewa sobie dziewczyna, śpiewa i las z nią razem, a gdy zdziwiona tem śpiewaniem i tem, że jej się drzewa kłaniają, dech powstrzyma, milkną, powstrzymują dech z nią razem i brzozy („Jagoda“). Borówka, ta mała, czarna jagoda, odzywa się do zbierającego dziewczę: „weź-że mnie, weź-że mnie, bo ja świeża! zjedz mnie, zjedz mnie, bo ja słodka!“ A gdy chłopiec świeże skiby pługiem przewala, nuca mu kosy i wywilgi, aby raźniej szła mu robota. Narodziny dziecka zwiastuje słowik najpiękniejszą swą pieśnią, a ranny wiatr na przywitanie nowego człowieka — niby towarzysza swego — roznosi naokoło słodką woń drzewa, bżów i konwalii leśnych. Kukułka jeśli kuka, to na to, aby samotnemu marzycielowi wyróżnić, ile mu jeszcze lat w ojczyściej upłynie ziemi. A kiedy przyszedł czas, że człowiek musiał z rodzinnymi pożegnać się stronami i iść w świat — na wolę i niewolę, kiedy się oko w chwili rozstania gorzką łzą zalewało, zasępił się i horyzont niebieski, deszcz padał rzęsy, a pod wieczór słońce było zaczerwienione, jak od płakania oczy matczyne. Z najbliższą rodziną cała płakała natura, jakby należała do tej najbliższej rodziny: wichur szumiał w polu, a kłosa pszeniczne strząsały łzy swoje na ścieżkę idącego w świat tułacza („Tak to na Mazowszu“). Nawet wrony w lesie krakały na gałęziach smutną pieśń pożegnalną.

„Kalina“ wyrosła w gaju, nad modrym potokiem, pijąca krople rosy, strojna w czerwone korale i warkocze, z cienkich uplecione gałązek, zalotna, jak dziewczyna wiejska, która, nie mając lusterka, przegląda się w źródle; igrająca z wiatrem, rozczesującym jej włosy, los swój związała z losem wiejskiego chłopaka, tęskni doń, czeka nań, jak kochanka, a gdy biedny grajek umarł, z żałoby zrzuca korale, rozwiewa na wiatr zwiędłe swe liście.

„Dwa dęby“ stuletnie, jak dwaj brodaci staruszkowie, gwarzą sobie wśród cichej nocy miesięcznej, przekomarzają się o to, co z jednym i drugim się stanie, a jeden i drugi świadom jest tego, że ich przeznaczenie ściśle jest związane z losem człowieka. Towarzyszą mu w drodze jego żywota od początku do końca. Jeden mówi, że będzie kołyską, którą ludzie sianem wyścielą, liściem ozdobią, a drugi powiada, że majstrowie żłobek z niego sporządzą dla konika ułana. „Bądź sobie żłobem“, przekomarza się pierwszy, „a ja będę w żelazo oprawną dzidą“. „Jak ty będziesz dzidą, to ja będę trumną tego człowieka, któż z nim dłużej zostanie?“ „Nie chełp się“ — odpowiada znów pierwszy:

„Ja będę czarnym krzyżem na grobie,
A na nim napis będzie wryty:
Tu leży wojak w bitwie zabity“.

Walecznego żołnierza zabiją, a dąb, jak najserdeczniejszy przyjaciel, ubiegający się o okazanie mu swojego współczucia, ma być głosiicielem jego bohaterskiego końca.

Ta nić wewnętrzna, zespalająca człowieka z przyrodą, że oboje żyją ze sobą w braterskiej zażyłości, stwarza pomiędzy jej płodami, nie należącymi do społeczeństwa ludzkiego, nawet mścicieli krzywdy, zadanej człowiekowi.

Pani zabija pana, męża swego (Ballada), grzebie go w nocy w ogrodzie pomiędzy kwiatami i, spełniwszy dzieło, przekonaną jest, że zatarła wszystkie ślady swej zbrodni. Atoli lilia i ruta, rosnące na grobie, śpiewają pieśń żałobną, której treścią czyn ów krwawy, a śpiewają tak długo, aż przypadek nie sprowadza brata zabitego. Od lilii i od ruty dowiaduje się on o smutnej nowinie i przeniewierczej żonie poleca wymierzyć sprawiedliwą karę¹⁾.

Ta antropomorfizacya, a właściwie antropopsychizacya tworów przyrody, będąca wynikiem naiwnego na świat poglądu, a u Lenartowicza umyślnym środkiem artystycznym, użytym w celu nadania poezjom jego piętna tem większej jeszcze prostoty, łączy się ściśle z optymizmem, z jakim poeta traktuje duszę ludzką.

Pochwycił on w niej jedną tylko stronę, słoneczno-szlachetną, i usymbolizował ją w duszy chłopskiej, która według wyobrażeń romantyków, ugruntowanych w tendencji społeczno-narodowej, nie mogła być grzeszną, zbrodniczą, podłą. Świat różnych stanów duszy chłopskiej — a właściwie jednego, usymbolizowanego znowu

¹⁾ W książce p. Stanisława Zdziarskiego p. t. „Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX. w.“, wydanej w r. 1901, znalazłem w artykule o Lenartowiczu albo niemal dosłownie przytoczone, albo mało co zmienione ustępy (bez podania źródła) z mojej broszury o Lenartowiczu, ogłoszonej w r. 1893.

w różnych postaciach wioskowych, odpowiadający najzupełniej sielankowemu otoczeniu przyrody, przypomina obrazy dawnych mistrzów, w prymitywny sposób przedstawiające raj i pierwszych naszych rodziców. Żyją oni nadzy, a „w swej nagości niewinni“, wśród bogactwa najróżnorodniejszych roślin, złanych orzeźwiająca rosą, i wśród fauny, gdzie nosorożec lub tapir, gdzie lew lub tygrys, w idylicznej z barankiem i wiewiórką zgodzie, zdają się wdzięczyć i przymilać do uszczęśliwionych Adama i Ewy. W dali tylko, wśród gęstwiny lian i olbrzymich paproci spoczywa wąż z judaszowym wyrazem oczu — bo na malowidłach tych paszcze wszystkich zwierząt mają coś ludzkiego — czyhający na to, aby tę błogosławioną zakłócić harmonię. U twórcy mazowieckich sielanek wąż ten istnieje w postaci troski, trapiącej lud prosty, ale tak jest ukryty, że widać mu zaledwie mały czubek łba.

Wspomnianą powyżej słoneczną szlachetność duszy ludzkiej symbolizuje poeta przede wszystkim w szeregu dziewczyn wiejskich, a właściwie znowu w jednej w Wiochnie, przed nami w najrozmaitszych tańczącej i śpiewającej figurach.

W cichym brzoźowym lesie zbiera jakaś Marysia czy Jagusia jagody, prosta, wesoła, uśmiechnięta do skrawka nieba, niebieszczonego się nad głową, gwarząca z drzewami które jej się kłaniają, z dzięciołem i wywilgą, śpiewająca wesołe chłopskie „Oj dana!“ Ale naraz myśl jej zdaje się zaciemniać, a wargi jej składają się do piosenki, dziwnie tęsknej, smutnej, zawierającej jedną z tych trosk elementarnych, które u Lenartowicza bywają rodzicielkami nie buntowniczej rozpaczki, lecz melancholijnego poddania się losowi.

Melodyjne zwrotki prawią o matce, co miała dwie sieroty — zwykłe dzieje ludzkie, nie tylko wieśniacze — chłopca, który, jak złoty aniołek, przepasany krajką, opalony, bosy, Bóg wie, gdzie szedłby za bajką — córeczkę, taką samą, jak śpiewająca. Dobrze im się działo pod opieką ócz matczynych, ale przyszedł czas, że wóz, zaprzężony w siwe woły, zajechał przed chatkę, że dziadek kościelny pochwycił za linewkę od dwonnicy a poza wrotami cmentarza smutna zaświeciła tęcza, pokazując w swej czerwieni krzyże i sieroty na mogile...

Śmierć posłużyła do stworzenia sielanki — bo, jak dusza ludzka nie powinna mieć w sobie według marzeń poety ani jednej ciemnej strony, tak też i świat, w którym się obraca, powinien być słoneczny. A jeśli już musi być smutny, to i chmury jego w oczach duszy zblakną, stracą orkaną swą grozę; dusza szlachetna jest duszą wierzącą, a dusza wierząca przyjmie cios choćby najsroższy z rezygnacją, albo z nadzieją zmiany na lepsze. (Wiersz kończy się zwrotem: „Wola Twoja jak w niebie, tak i na ziemi“.)

Smutek, melancholia jest zasadniczą cechą duszy. Dziewczynę — duszę ozłaca słońce południa, przypływa ku niej dźwięk dzwonek na szyjach zganianego z pastwiska bydła — rzeczywistość staje przed nią w swej wyidealizowanej krasie, ale ona wraca do

głównego tonu bożego muzycznego narzędzia, jakim jest życie ludzkie, do smętku, śpiewa dalej piosnkę o losach dwojga sierotek.

I tutaj znajdujemy szczegół, który u Lenartowicza powtarza się bardzo często, który stanowi jeden z głównych punktów jego myślenia i czucia. Poeta nie mógł sobie wyobrazić duszy, jako bezwzględnego abstraktu, zawieszzonego pomiędzy niebem a ziemią, wiązał on ją zawsze z tem, co sam umiłował najbardziej, z ziemią rodzinną, nawet wyzwoliwszy ją z ciała i umieściwszy w niebie, dał temu niebu, jak to zobaczymy później, właściwości ojczystego kraju.

Sierota idzie w świat, a siostra, żegnając go, przypomina mu, ażeby za siódmą rzeką, gdy mu już zmilkną dzwony wiejskie, nie zapomniał o rodzinnych stronach, o tej chacie rozwalonej i o tem niebie, co nad jej kominem tak jest błękitne, jak oko matki nieboszczki. Niech zapomni o wszystkich, niech nie ogląda się nawet na tych ze swoich, którzy legli w mogile, ale niech pamięta, że czeka na niego nasze niebo. I sierota nie zapomniał; przewędrował kraje świata, a choć nie zbywało mu ani na chlebie, ani na soli, tęsknił przecież za kawałkiem ojczystego nieba i za krzywką wiatru ojczystego. Złotookiem piórkiem pawia pisze liścik do siostry, odsłaniający jego duszę, pełną smętku, że na obczyźnie tego mu właśnie nie dostaje.

Jest to niezmiernie subtelne przeniesienie na duszę wymarzonej kreacyi artystycznej psychicznego stanu poety, który zmuszony opuścić strony rodzinne ¹⁾, tęsknił za niemi i w tęsknocie tej potęgował w sobie miłość ziemi ojczystej wraz z życzeniem, aby i inni tak samo ją kochali, — transpozycya uczuć, która, występując w daleko wyraźniejszych choć równie pięknych rysach w wierszu „Jak to na Mazowszu“ ²⁾, daje nam równocześnie klucz, wskazówkę, że

¹⁾ Lenartowicz opuścił w r. 1847 Warszawę i Królestwo, dowiedziawszy się, że mu grozi aresztowanie. (Paw. Bryła, Spraw. dyr. gimn. w Stanisławowie 1893).

²⁾ „Oj, Mazur ja, Mazur pomiędzy obcemi,
Zmarnuję ja młodość na nieswojej ziemi.

.

Kiedym szedł do ludzi, cały dzień padało,

(i tutaj współczucie przyrody z losami człowieka, albo też patrzanie — co na jedno wyjdzie — oczami losów na przyrodę)

Pod wieczór się za mną słońce obejrzało, —
Oj poczerwienione, jak oczy matczyne,
Co mnie błogosławiąc patrzyły w dolinę:
Wiatr szumiał po polu, a pszeniczne kłosa

nie mamy tutaj do czynienia z obiektywnymi obrazkami rodzajowymi, ale z subiektywnymi uczuciami samego twórcy, usymbolizowanymi w tych obrazkach.

Odmienne od alegoryi, która jest ujęciem abstraktu w kształty realne, zmysłowym upostaciowaniem oderwanych zjawisk, myślowych czy uczuciowych, właściwość symbolu obrazowego polega na pojęciowym rozszerzeniu pewnych zjawisk realnych za pomocą pewnych, od indywidualności twórcy zależnych, środków artystycznych.

Stworzony w ten sposób obraz będzie miał znaczenie dwojakie: obrazu realnego i obrazu symbolicznego — realnego, oczywiście w znaczeniu podpadania pod zmysły, gdyż obraz, służący jako substrat symbolu, może być niejednokrotnie wyidealizowany (sama idealizacja nie jest bynajmniej symbolizacją).

Sfera zjawisk, z jakiej twórca bierze swoje symbole, jest obojętną.

Dzięki środowisku, w którym Lenartowicz spędzał swe lata dziecięce, dzięki ogólnemu nastrojowi demokratyzującego się ówczesnego społeczeństwa, po motywy do owych obrazów sięgnął do ludu i, powiedzmy od razu, idealizował zjawiska realne, których — z wiedzą czy bezwiednie, to jest obojętne; prawdziwy twórca czyni to

Strząsały na ścieżkę krople jasnej rosy:
Po boru, po lesie, przez gęstwinę ciemną,
Na gałęziach wrony krakały nademną.
Sierocemu sercu tak się wydawało,
Jakby coś w powietrzu po lesie płakało.
Spojrzałem przed siebie, nikogo nie było,
Kilka ciemnych sosen w ziemię się chyliło;
Daremno po drodze patrzyłem za siebie,
Jedna tylko gwiazdka mrugała na niebie,
I ta utonęła w ciemnej mrocznej fali,
Nie było nikogo i poszedłem dalej...
I dalej i dalej w świat szeroki, długi —
Bywajcie mi zdrowe, mazowieckie smugi,
Skrzypki moje, skrzypki, do serca zagrajcie,
A wy też Mazury chętnie posłuchajcie.
Dziś tułam się oto i tęskliwie żyję —
Westchnieniem się żywię i łez się napiję...

Oczywiście, sądząc poezję ze stanowiska folklorystycznego, ustęp powyższy, włożony w usta chłopca, wyda się nam nieprawdziwy, bo chłop tak przemawiać nie umie; pięknym natomiast będzie, bardzo pięknym, jeżeli przyjmiemy, a przyjmując musimy, że jest on poetycznym wyrazem tego, na co prostymi wyrazami skarżył się poeta w swych listach do przyjaciół. (Cfr. Listy do Ksawerego Mroczyńskiego i do p. X. C. w artyk. Pawła Bryły w Sprawozd. dyr. gimn. w Stanisławowie, z r. 1893).

zwykle nieświadomie, wrodzonym kierując się instynktem, intuicyą — używał jako podkładu dla przedstawienia własnych pierwiastków psychicznych, myślowych czy uczuciowych.

Przypatrzmy się temu substratowi, tym obrazom realnym — realnym w znaczeniu artystycznym i wówczas, choćby miały tylko pozory rzeczywistego życia.

Poeta przemawia przez chłopca; jakim jest ten chłop? Ze stanowiska ludoznawczego nie zawsze jest prawdziwym wewnątrznie, tak, jak nie zawsze prawdziwym w oświeceniu Lenartowicza jest życie jego zewnętrzne. Mówię: nie zawsze prawdziwym, gdyż i w wyidealizowanym oświeceniu poety ma on i jego życie rysy, których prawdziwości zaprzeczyć nie można, choćby dlatego, że rysy te są rzeczywistymi składnikami duszy ludzkiej wogóle, a dusza ludzka w istocie swej jest jedna. — Przedewszystkiem ludzie to niemal bez grzechu, przechodzą przez świat czysti — ideał poety, dotyczący duszy i jej dróg — niewinni, jak ów „Janek stary“ (w rzewnym wierszu: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“), który od „chłopięcia szczególnie miał statek w bitwach i pracy i około dziełek“, którego dusza aż do skonu „tak była jssną, jakby co dopiero wyszła z dłoni Przedwiecznego“, a który umierając, po zapewnieniu księdza, że będzie miał nad sobą opiekę w niebie, jeden ma tylko jeszcze kłopot, co mianowicie powie, gdy stanie przed majestatem bożym, jak przywita tych świętych wszystkich i tych aniołów wszystkich, mających go w swoje przyjąć grono. „A cóż się mówi, kiedy się wchodzi między ludzi dobrych?“ pyta się kapłan konającego — „mówi się: niech będzie pochwalony...“ — „Toć prawda, prawda“ — zawoła staruszek i z tem pozdrowieniem na ustach zamyka na zawsze powieki.

Wiedział poeta, że „wszędzie są złości i kto grzechów nie-ma?“, ale był też równocześnie przekonany, że ten ich posiada „naj-mniej, kto się roli trzyma“.

Tych „grzechów, które są wszędzie“, dostrzegał Lenartowicz pośród ludu jak najbardziej znikomą liczbę dlatego, ponieważ lud ten serdecznie ukochał.

Wielką już zbrodnią są w oczach jego ludzi te drobne przykrości, które sobie wśród trudów codziennego żywota sprawiają członkowie jednej rodziny. W „Dwóch duszach“ mamy klasyczny tego przykład. Cnota i Występek spotykają się w drodze powietrznej: duchy dwóch nieboszczyc, Barbary i Maryi. Jedna z nich biała, jak słońce, kiedy się lekką okryje chmurką, druga zaś ponura, czarnolica.

Nieboszczycy, które za życia dobrze się znały, rozwinąwszy długie swe „duchny“, całuny, rozpoczną pomiędzy sobą rozmowę. I okazuje się, że pierwsza, biedne popychadełko, opalone zawsze od słońca, na ciężkie skazana trudy, że aż litość brała patrzeć się na nią, gdy żęła zboże, gdy ze zmęczenia ledwie-że dzbanek z wodą utrzymać zdołała, nie bieliła się na żadnym blichu, nie wykapała

się w tę drogę wieczystą w żadnym stawie, w żadnym jeziorze, w którym łąbędzie płuczą swe skrzydła, w żadnym źródle, co w lesie z pod drzewa wypływa, ale że ją tak wybielił twardy znój, że ją tak własne łzy, które nieraz ronić jej wypadło, z ziemskiej obmyły spiekoty.

A druga — czego się dopuściła, że w takiej czarnej zjawia się postaci? Ona, co tutaj, na świecie doczesnym, białą była, jak sciana, i rumianą, jak róża, poczerniała nie od ziół szkodliwych, ale od tego, że nieraz matce hardo odrzekła, aż tej łzy popłynęły z oczu. Te łzy matczyne stały się powodem jej zmiany.

Nie dziw więc, że lud, który moralne pojęcia swoje w taką zamyka przypowieść — „Dwie dusze“ wzięte są z podania ludowego, mającego analogię w takiej np. „Brzozie gryżyńskiej“ Morawskiego — że więc ten lud w miłością rozszerzonych oczach poety składa się z samych „świętych Marków i Ann świętych“.

Taki jest stosunek chłopca do Boga i jego przykazań.

Równie szlachetnym, równie idealnym jest on wobec swego otoczenia, które poeta skupia w pojęciu ojczyzny.

W wspomnianej poprzednio „Jagodzie“ dziewczyna wiejska — roztrząsamy obrazki Lenartowicza, jako zjawiska realne, jako substrat symbolów — dziewczyna wiejska wyraża miłość swoją dla brata sieroty za jego tęsknotę do łańców rodzinnych; jakaś Jagusia czy Marysia z wiersza „Dziewczyna“ kocha nie tylko Boga i matkę, ale zapłacze nieraz i jest „najsmutniejszą z sioła i samotną“, gdy o ludzkiej niedoli „do chatki zła wieść zakałacze“ — wówczas to — mówi:

„Na łonie mojej matki
Zal nad ludźmi płacze...“

I „Wiochnie“ łzy cieką z oczu, gdy jej zanucą „o Polaku w niewoli“. Ten sam rys powtarza się i w innych poematach. Wieje śnieżycą, szumią drzewa, ponad zagonami wzlatają wrony, naokół zimno, przesywające kości — a z chałupy na drogę wybiegł „Chłopak“, z rękami czerwonymi, jak raki, z oczami, jak ciarki, przez wieś maszerowali powstańcy, zdaleka słyhać jeszcze nutę dzielnego marsza, widać jeszcze bagnety, połyskujący nad starym żołnierzem.

„I przeszli, minęli,
Śnieg gęsty poprószyl,
Choć przeszli, minęli,
Chłopak się nie ruszył.
Na czole mu siadła
Chęć bójki zawzięta,
Po twarzy mu spadła,
Kropelka zziębnięta.
Czy mróz ją wygonił

Wędrować po świecie,
Czy z biedy łzy ronił?*

Nie! Mazur nieletni pobiegł do chaty prosić matki o takiż, jak u wojaków, karabin.

W „Grajku“ rozochoceni parobcy dolewają staremu piwa do dzbana, ażeby im zagrał taką piosenkę, którąby cała Polska usłyszała, a zagrał ją z taką mocą, „ażeby już raz dobrze było“.

W „Bitwie Racławickiej“ chłop polski nie tylko gospodarzy, kraj chlebem zasila, ale z pieśnią „Pod Twoją obronę“ na ustach, „po cztery, po cztery“ kroczy wśród powiewających chorągwi wrogie zdobywać armaty.

Lenartowicz pragnął szczęścia dla ludzi i wizerunek szczęścia chłopskiego dał nam w licznych obrazach i obrazkach, a powołowany może teoryjami Rousseau'a o potrzebie powrotu do życia prostego, teoryjami, których echo żyło w dążeniach demokratycznych współczesnych naszemu pocięciu lepszych jednostek społeczeństwa, chciał nam dać także symbol szczęścia wogóle.

Chłop lenartowiczowski jest nie tylko bogobojny i miłujący ziemię ojczystą, ale i szczęśliwy.

W czas orki jedzie sobie „Mazur“ z wołami na pole i śpiewa sobie razem z dziewczyną, której nuta dolatuje doń z poblizkiego lasu, razem z ptaszkiem, co się nad świeżą unosi glebą. Bo i dla czegoż nie miałby sobie zaśpiewać, dla czegoż nie miałby się weselić? Nie jest przecież żadnym „nicpotą“, ma przytem chatę i „stodółkę poszytą“, ma bydełko i dwa konie, ma żonę, którą kocha i dzieciaka małego. Wszakże i Pan Bóg ma go w swojej opiece, bo grady omijają jego zboże, a deszczyku gdy potrzeba, aby się żytko wykłosiło, również nie zbraknie. Sprzęty będą niezłe, z omłotu spadnie nawet coś dla kaleki, dla sieroty, dla ptaka, dla przyjaciela a nawet i wroga ¹⁾.

Ma człowiek swoją troskę, panu hardo służyć musi, ale za to może Pan Bóg daruje mu grzechy, może pocieszy go na dzieciach, nie ma się więc czego smucić...

I nie smuci się: wyprawi córuni ślubne gody, na których „stary Józef skrzypkę stroi“, aż parobcy przytupują nogami, albo przy kwaterce zasiądzie sobie w karczmie i dalej-że na grajka i na basistę, ażeby od ucha mu rznęli. I grajek i basista nie dadzą się prosić dwa razy: „ten zawadzi, ten odprawi“, a smyczki chodzą po strunach, jak gdyby same.

I życie rozwija się, szaleje naokoło: dziewczęta nuca o tej przepiórcie, co ucieka w proso, chwytają nuty zbłąkane: ta dobra do tańca, ta do pracy, a od tamtej znikają kłopoty... „Graj że, grajku, będziesz w niebie, a basista koło ciebie!“. I robi się:

¹⁾ „Mazur za wołami“.

„Szumno, tłumno i wesoło,
 Aby dalej, aby w koło,
 Za drugimi, za gromadą,
 Maciej sąsiad ze sąsiadą,
 A za nimi skocznym tanem
 Jedzie Wojtek z dużym dzbanem,
 Za płotami, jako mogą,
 Dzieci sobie swoją drogą.
 Wszyscy skaczą, jak najęci.

a

Zmarnowane bieda z nędzą,
 Jak szalone ze wsi pędzą.

Muzyka zagłusza kłopoty codzienne i chłop, jeżeli się na nie poskarży, to tak cicho, jak gdyby bał się, żeby skargi jego nie poczytano za złe, albo jak gdyby wiedział, że to się na nic nie przyda. Zdając zresztą wszystko na wolę bożą, nie poddaje się rozpaczy, chyba że się wszystko złe na niego spiknie, że mu się spali stodoła, że mu zboże grad wytłucze, że ma za cały majątek dwa doły, w których leżą żona i dziecko, że mu z chaty pozostaną same zgliszcza. Wtedy to z rozpaczy do moskiewskich przystanie żołnierzy, ale nim spełni ten czyn, w dzikim tańcu pragnie choć na chwilę zapomnieć o swojej niedoli.

Tańczy, a grajek gra, aż się zmacha od grania, aż mu krople po licu pociekną, aż nareszcie sam pod wpływem szalonego Macieka prawie oszalały, rzuci skrzypce o ziemię, potraska je i podepce.

Zdaje mi się, że tylko ten jeden raz zdobył się Lenartowicz na przedstawienie życia chłopskiego z jego smutnej strony — to znaczy: raz tylko wylał gorycz swoją nad nędzą świata, a może i nad swoim własnym, ciężkim, do obcej ziemi przykutym losem — ale i tym razem nie każe nieszczęśliwemu np. robaka zalewać wódką, ale zgodnie ze swoją własną, pierwiastków muzycznych pełną naturą, zagłusza go muzyką.

Muzyka — jako pięknie zharmonizowany rytm i rym, jako indywidualne ustosunkowanie obrazów i pojęć, będąca jedną z najważniejszych, najwybitniejszych zalet muzy naszego pieśniarza — jest chłopa lenartowiczowskiego nieodłączną towarzyszką.

Oszalały Maciek, będący symbolem umiłowania pieśni przez niezbyt szczęśliwego w życiu poetę, ucieka się do niej, gdy go już wszystko opuściło; nuta, wydobywana ze strun skrzypcowych, czy ligawki, unosi się nad chatą wieśniaka, nad jego stodołą i obórką, nad jego łąkami, zlewając się razem z odgłosem „dzwonka“, który i dzień zwiastuje i dzwoni na „odwieczerzy, kiedy się świat uśmierzy“ i schodzi „na Anioł pański, na ten brzeg nadwiślański“ — z odgłosem dzwonu, który kiedyś tak „huknie sercem na grobie“, że

„Wszystkie prochy po świecie
 Onych ludzi, co wiecie,
 Jeden wichur znów zmiecie.
 I z tych prochów się złoży
 Coś, jak gdyby gniew boży,
 Pył do pyłu przystanie
 I lud wstanie na łanie
 I przebrzmiały ich głosy
 W żywe hukną niebiosy;
 Witaj dawna starszyzno!
 Witaj matko ojezyzno!“

(„Dzwonki“.)

Nie należy do zakresu mej pracy roztrząsanie, o ile idealizacja chłopca i jego życia jest uzasadnioną czy pożądaną ze stanowiska interesów społecznych. Wrażeniu artystycznemu ona nie przeszkadza — tam, gdzie do poezji przystępujemy nie z potrzebą odkrycia w niej prawd folklorystycznych, czy publicystycznych, lecz z żądzą spotkania się z uczuciami, pokrewnymi naszym uczuciom. Pierwiastki idealistyczne, prowadzące równocześnie do idealizacji życia, ma każdy z nas, to też miło nam znaleźć odbicie ich w poezji. Zresztą „idealizacja“ chłopca i jego życia może sprzeciwić się tzw. prawdzie realnej, jeżeli idzie o chłopca jako zbiorowisko. „Klasa“ ta do najszczęśliwszych, najlepszych, najwybrańszych nie należy (klas takich niema wogóle), natomiast i pomiędzy „klasą“ chłopską (tak samo, jak w każdej innej) znajdują się mniej lub więcej liczne jednostki i szczęśliwe i dobre i czułe i kochające kraj i w lepszą wierzące przyszłość. Chłopca widziały Racławice, Miłostaw i Września i Krzywosądza, a utarte mniemanie, że chłop bardziej boleje nad utratą ciołka, niż dziecka, jest — jeżeliby się je chciało zgeneralizować — kłamstwem.

Szczęśliwy ten świat, tworzący podkład symboliki Lenartowicza, maluje poeta rysami subtelnymi, meissonierowskimi. Pod tym względem wzorem doskonałości jest „Wiochna“¹⁾, wybiegająca z ranem słońkiem na rosę białą, tak samo, jak dwie jej siostry rodzone „Jagoda“ i „Dziewczyna“, rozkoszująca się tą „brzozą płaczącą, co wyrosła nad rzeką, i tymi jasnymi obłokami“, co

..po niebieskim płynąc przestworze,

odzwierciadlają swe kształty w czystym potoku. (Zarysy pejzażowe.) (Zarysy i odcienia psychologiczne): Lenartowicz wywołuje efekty szczegółami, z umysłu rozrzuconymi bezładnie:

Po głowie Wiochny snują się rojenia — sny czystej, nieskalanej duszy.

¹⁾ Powstała pod wpływem „Rojeń wiosnianych“ B. Zaleskiego.

To przekomarza się z jaskółką, że nie tylko ona potrafi uwi-
jać się w koło, ale że to jej, Wiochnie, z łatwością przychodzi;
niech no tylko ogień wzniesi i krówkę wydoi, aby się matka nie
gniewała, a pokaże, jaka jest zwinna; to raduje się, że Bóg tyle
kwiecica rozmnożył po ziemi, że dał jej braciszka, z którym popie-
ścić się spieszy, ale że się jeszcze nie zbudził, więc od kołyski da-
lej do koninka ogień zrobić, a gdy się ogień rozpali, nuże czasaé
długie warkocze, o których ludzie tyle mówią, że jej się aż wsty-
dzić trzeba. Nic w nich pięknego nie widzi, a tylko żmudną ma
z rozplątywaniem ich robotę. (Prawdziwy umysł dziecięcy, w któ-
rym się wrażenia nie łączą w jeden łańcuch, ale są jak rozsypane
razem perły i korale.)

Matka jej powiada, że nie rośnie, ale to nie prawda, bo
niech tylko ciepły na wiosnę popada deszczyk, niech się w nim po-
rządnie przemoczy, a odrazu będzie tak — duża.

Pająk przędzie szare swe włókienko i ona tak samo, a przy-
tem mędrsza jest od niego, bo i na książce czyta, i w kościele się
pomodli i baranka na Wielkanoc jak żywego ulepi, a gdy w Trzy
Króle zrobiła:

„Świątą Pannę i Syna
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule
I z lirenką pasztuszka,
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli,
I za głowę się brali,
Matce wierzyć nie chcieli...“ i t. d. i t. d.

„Wiochna“ może być w założeniu przesentymentalizowana,
ale jako ideał naiwności, sympatyczny czy nie, to wszystko jedno,
jest robotą doskonałą,

IV.

Lenartowicz był człowiekiem religijnym; wierzącym. Według
jego wyobrażeń życie bez wiary „byłoby niezmiernie głupią farsą“¹⁾.
„Występywanie przeciwko wierze jest właściwością ludzi płytkich,
a prawi poeci i artyści noszą w sobie to żywe uczucie (wiary)
i mogą zwać się kapłanami z urodzenia“. „Żaden wielki geniusz
nie był nigdy ateuszem. Bez idealizmu nasze istnienie nie miałoby

¹⁾ List do X. C., wrzesień 1883. Sprawozd. dyr. gimn. w Sta-
nisławowie.

celu ; praca, nauki, kunszta, dzieła wspaniałe, stałyby się prostą chimera. ¹⁾“

„Owoż tak być nie może, a samaż absolutna negacya wiedzy ku twierdzeniu. Nie mgły to i pomroka zwątpienia, otaczające słońce prawdy, lecz błogosławione światło jego daje życie światu.

„Umysły wielkie i genialne posiadają mądrość, której służyć poczynają od pierwszego tchnienia swego, a tej przyświeca zawsze myśl i wiara w Istotę najwyższą, jedyną ²⁾.“

Wiara Lenartowicza była katolicką, błogosławieństwo, które otrzymał od papieża — a z powodu którego zarzucono mu w pewnym odłamie prasy warszawskiej jezuityzm, wstecznicstwo, klerykalizm — uważał sobie za „chlubę przed rodziną i u potomności“, wobec czego „wszystkie honory świata są niczem zaiste“, jakkolwiek raził go dworski przepych, otaczający głowę kościoła, jakkolwiek papieżem powinien być „najuboższy gdzieś, a serdeczny, stary mnich. Idę do dziada — mówi — powzdycham, poprowadzi mnie do kaplicy, odmówi litanie i dobrze“ ³⁾. W oczach jego „pod pozorami liberalizmu protestanckiego kryły się zdrada i waśnie braterskie, zdolne zburzyć gmach cały, „mimo to jednak umiał być w sprawach wyznaniowych obiektywnym i zwłaszczcza, gdy szło o wybranców narodu, posadzanych o libertynizm, znaleźć dla nich słowa, godne, aby je sobie zapamiętano, słowa, dowodzące, że, wiernym będąc katolikiem, katolicyzm ten pojmował — notatka powyższa o papieżu - mnichu — dość, jeżeli idzie o stosunek do dogmatów, swobodnie: „Adam pyszny. Adam niewierzący“ — mówi o Mickiewiczu — „ach! Boże! biedneż te sądy nasze! ⁴⁾ Kazimierz Brodziński,

1) W prelekcyi bolońskiej o Kochanowskim. Cfr. Dr. Sas: „O charakterze polsko-słowiańskiej poezyi. Odczyty Teofila Lenartowicza na Wszechnicy Bolońskiej. „Przewodnik naukowy i literacki“ r. 1887.

2) W Prel. bol. o Koperniku. Dr. Sas: „O charakt. poezyi słow.“ Przewodnik naukowy i lit. 1887.

3) Z okazji ofiarowanego Piusowi IX. modelowanego przez siebie kielicha, pisze w liście do X. C. z Flor. r. 1883: „W Warszawie furfanty „Przeglądu tygodniowego“ szczekają na mnie, poniżają, psu-braty. Niech im będzie na zdrowie, nie wiele sobie z tego robię. Pies szczeka, wiatr wieje, a ludziom się dobrze dzieje. A co naszczekali na Adama, choć tak wielki! Co się temu dziwić. Nie mieli co wymyśleć, to że od OO. Zmartwychwstańców brałem pensyę i żem się jako braciszek chciał u nich pomieścić. Dobrze i to wiedzieć na tę ciężką chwilę!“ (Sprawozdanie dyr. gimn. w Stanisławowie 1893. Artykuł p. Pawła Bryły).

4) Lenartowicz miał chwilę w życiu (r. 1867), gdzie i dla Kraszińskiego i dla Słowackiego był niesprawiedliwy. Ofiarowując J. I. Kraszewskiemu edycyę Danta, dołączył do niej wiersz, o któ-

ów poeta, który pisał kantaty dla loży masonskiej, przed zgonem, jak wspomina Bohdan Zaleski w Przedmowie do „Posłańca do na-

rego treści daje wyobrażenie poniższy ustęp, drukowany w „Kuryerze Lwowskim“ :

„W naszej ojczyźnie, w tem konania łożu,
Dwu miało dumę Dantejską, nie duszę:
Jeden z próżności lutnię topił w morzu
I umarł z pychy. O pyszni Juliusze!
Drugi przekleństwo wymiół na świat podły
I skłamał, krzycząc: wierzę w Boga, wierzę;
Peeta - magnat z strzelistemi modły,
Co zmarł z zawodów strasznych na bankierze...
Z takich poetów wnosić o narodzie,
Byłaby smutna rzecz“ i t. d.

Przekonawszy się, że ceniom tych wielkich twórców uczynił krzywdę, starał się wrażenie to zatrzeć:

„Na pychę bajem wciąż: o pycho! pycho!
A któż z żyjących bez niej? Bądźmyż cicho!
My żeglujemy po burzliwej wodzie
Bez przewodnika, a gdy los nam zdarzy
Wodza, to w buncie przepada żeglarzy.
Na męczenników spoczął jeden górze,
Na męczenników drugi legł padole.
A nieśmiertelne wieńce na ich czole
Anioł ojczysty pod wichry i burze
Od zapomnienia strzeże i zawiści
I żaden z złotych nie opada liści“.

W sprawie tej pisze w liście do X. C. z Florencyi r. 1887 (Spraw. dyr. gimn. w Stanisławowie): „Po ś. p. Kraszewskim zostały tomy listów i paki książek, pomiędzy którymi edycja Danta przeze mnie Józefowi ofiarowana, na której ostatniej stronie przez zapomnienie zostawiłem niedokończony (!) wierszyk, pisany ołówkiem, djabło gorzki w pierwszej swej połowie. W wierszu tym dotknąłem emigranckiej o Juliuszu Słowackim gadaniny (podług słów ś. p. Goszczyńskiego, który mi opowiadał, że: „Juliusza dyabli pychy przed zgonem dręczyli, że krzyczał: dyabli, dyabli na mnie lecą!“) i o Z. Krasińskim, o którym może mi opowiadał C. Norwid, że umarł ze zmartwienia, straciwszy milion w banku Tourneysena w Paryżu. Gadaniny to i słowa obraźliwe — koniec wiersza, którego manuskrypt szczęśliwie odnalazłem i niweczę. Otóż proszę cię, racz się zobaczyć z p. Fr. Kraszewskim i obligować o zamianę owego wiersza pisanego ołówkiem na załączony (przytoczony powyżej, a zaczynający się od słów:

rodu“ miał widzenie Chrystusa Pana i zmarł jak święty; Juliusz Słowacki, heretyk, bo co on nie popisał, skonał na rękę przyjaciela,

„Śmiech i wzgarda, wam, co się za braci
Dajecie wieszczów, infuzorya błotne! —
Zdaleka od tych pełzać wam postaci,
Co po wiek wieków zostaną samotne“)

i oddanie go Tobie dla odesłania mi do Florencji. Do redaktora Kuryera Lwowskiego posłałem uzupełnienie, ale to nie dość. Trzeba, jeśli już o tem najniezszczęśliwiej rozgłoszono, aby w książce, ale w formie nieubliżającej ani autorowi ani mnie, pozostało etc.“¹ Zdaje się, że ustęp od „W naszej ojczyźnie“ etc. aż do „na pychę bajem“ jest identycznym z inkryminowanym wierszem na edycji Dantejskiej, a późniejsze, początek i koniec, dorobił poeta w dwadzieścia lat później. W tej samej sprawie pisał Lenartowicz do Henryka Rewakowicza w liście, umieszczonym w „Tygodniu“, dod. lit. do „Kuryera Lwowskiego“ w Nr. 9 z r. 1893: „Że taki a nie inny sąd miałem i mam o naszych wielkich poetach, dowodem listy moje o Adamie Mickiewiczu i Konferencye w uniwersytecie bolońskim, w których o jednym, jak i o drugim (o Słowackim i Krasińskim) ze czcią się wyrażam“.

Zresztą o Krasińskim pisał Lenartowicz w liście do X. C. z Florencji d. 15. listopada 1883 (Spraw. dyr. gimn. w Stanisławowie 1893): „Czytam listy Krasińskiego. Jakaż to szlachetna natura i głęboki umysł! To, co mówi o poezji i Polsce, jest, co najgłębszego kiedykolwiek powiedziano. Kremer jako estetyk, Libelt i wszyscy nasi obok niego, toć to szepleniące pacholeta. Jemu Pan Bóg dał widzieć wszystko“. Owa wierszowana napaść tłumaczy się pewną dozą zgryźliwości, którą życie na obczyźnie, życie w biedzie, musiało wyrobić. Zwłaszcza z nowszymi kierunkami myśli nie mógł się pogodzić: „Józef (Kraszewski) zostawił pole gałganduchom, czyli hultajskiej trójce, jakimś wywłokom z pod trychtów, którzy i dziś ciągną po rynsztoku, gałgany stare, poczcziwą chorągiew, urągają z wiary, z nadziei i miłości. A kto temu winien? Ci, co ją porzucili, Bohdan Zaleski i Józef Kraszewski. Są chwile, w których potyżować jest grzechem, choćby się arcydzieła tworzyło“ (List do X. C. Flor. 1888. Spr. dyr. gimn. w Stan.).

A w liście do tegoż X. C. z dnia 21. stycznia 1891 z powodu złożenia zwłok Mickiewicza na Wawelu: „Na smutny tryumf Adama nie mogłem więc przybyć. Smutny, powiadam, bo nie w czasie, jak ten dzisiejszy, wstępować na Kapitol. Idealizm, przywiązanie do ojczyzny, wiara stara, szlachectwo poczcziwe, wszystkie ideały Adama wysmiane, sponiewierane i w błoto rzucone i jakże to pogodzić jedno z drugim? Sto tysięcy ludu się zeszło, więc to dowód, że idea

dzisiaj arcybiskupa Felińskiego, kapłana męczennika, przyjąwszy prze-najświętszy Sakrament. Za Zygmunta Krasieńskiego, w chwili jego konania, Pius IX. w kościele św. Piotra odprawiał modły, jako za najwierniejszego sługę Kościoła. Adam skonał namaszczoney świętym Olejem, o czem mówił mi ksiądz Ławrynowicz, który mu takowego udzielał, a ostatnie jego słowa były jakby echem z Patmos: „Kochajcie się, dzieci moje!"; i co tu prawić o herezjach? Że czasem wyobraźnia zaleci gdzieś w sfery ciemniejsze, którychby święty Tomasz z Acquinu nie potwierdził, to nic nie dowodzi; oceniając takich wieszczów, należy brać za miarę wiary nie wywody, ale ich konkluzye. Owoż w konkluzjach wszyscy nasi poeci są chrześcijanami, a zgonem katolikami. Walka pojęć, burze duchowe, ale nad tem wszystkim przewija się jak złoty baldachim procesyi Bożego Ciała chorągiew z napisem: Za Boga, Wiarę i Ojczyznę. Nie bądźmy tak surowi dla poetów, bo gdyby przyszło pisma pisarzy kościoła rozbiierać, niejednokrotniebyśmy okresy na panteizm zakrawające napotkali¹⁾.

Zaznaczenie pierwiarstku wiary w Lenartowiczu, człowieku prywatnym, zaznaczenie jej własnymi jego słowami, było mi potrzebne dla wykazania jego stosunku do składników religijnych, zawartych w jego poezyi. Tylko z pod pióra człowieka wierzącego mogły wyjść takie poematy, jak „Zachwycenie“, „Błogostawiona“, „Dzieci nazareńskie“, „Święta praca“ i tak dalej.

Pisząc je, nie miał zamiaru tworzyć obrazków etnograficznych na tle wierzeń ludowych, podlanych sosem literacko-poetyckich sentymentów, ale tła wierzeń ludowych używał celem ujawnienia własnych nastrojów psychicznych, dla pomieszczenia których tło ludowe wydało mu się najodpowiedniejszym, najbardziej zbliżonem do zasadniczego tonu jego duszy.

jego żyje? Nie dowód! Oto było „requiem aeternam“ poezyi polskiej, a lud się zbiegł, bo jak powiada Malczewski:

„Ludzie dobrzy, czy pogrzeb, czy to chrzciny, spieszą“.

Rozpacz ogarnia, jak gwałtownie zapadamy w nicość...“ (Spraw. gimn. w Stanisł.).

O Matejce:

„Mówiono mi o zapaćkaniu kościoła Panny Maryi. Niedolać to z tym mistrzem Matejką. Niechby babrał wozownie, a nie tykał kościoła!...“ (Do X. C. z Flor. 23. marca 1891).

A w tym samym liście: „...tam (w Polsce) tak wszystko gwałtownie przepada, co było charakterystycznego, polskiego, że już pewno i tych dziadków“ (śpiewających pieśń o św. Mikołaju) „niema, a ich miejsce zabrali złodzieje i wagabundy...“

¹⁾ Listy o Adamie Mickiewiczu. (List z 18. czerwca 1872).

Pod tym względem Lenartowicz wydaje mi się bardzo podobnym do owych głęboko religijnych malarzy szkoły staroniemieckiej, którzy sceny z życia Chrystusa przenosili w świat sobie współczesny, nadawali im koloryt swojej ojczyzny, zapelniali je tłumem, nie tylko odzianym w stroje staro-niemieckie, ale będącym w charakterze swoim odbiciem ludzi nie Chrystusowi, lecz malarzowi współczesnych. Czynili to, może i z nieznamości warunków historycznych, wśród których spełniało się Ukrzyżowanie, ale przedewszystkiem dla tego, ponieważ ludzie, ich otaczający, ludzie wiary, ludzie prości najbardziej odpowiadali ich wierze, ich wrodzonej prostocie.

Mieliśmy wielkiego poetę, u którego uczucia religijne przybierały formę mistycznej ekstazy. W niebiańskim upojeniu zdawał się on, jak święty Franciszek z Assyżu, Chrystusowe uczuwać stygmaty, a bolesne rąk przekłucia, nóg i boku, oraz krwawiące ślady cierniowej koreny na głowie były dla niego rozkoszą.

Razem z świętą Teresą, której „głoszę“ na swój rodzimy przepisał język, piórem, maczanem w krwi własnego serca, widywał on postać „Ukrzyżowanego Boga-Człowieka, nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie, nie tajonego przesłonami cudu“, ale widywał go „takim, jakim bywa pomiędzy aniołami, a widywał go lepiej nawet od świętych, bo silniej i goręcej kochał go, niż Oni“. A kochał go nie dlatego, że miłującym go przyobiecuje „gody w Królestwie swoim — palmy, harfy i dziwy“, ale dlatego, że „na ziemi będąc, przeboleał wszystko“, co tylko boleć może, że zniósł wszystko, co tylko poniżyć może, że On, Bóg, przybity został do drzewa krzyżowego, że zdradzili go ludzie, że odbiegło go niebo, że do własnego Ojca wołać musiał, iż go opuścił“¹⁾.

Religia Krasińskiego była religią cierpienia, nie wynikającego z anormalnego stosunku słabych sił ludzkich do nakładanych na nie ciężkich obowiązków w tej doczesnej podróży, ale religią cierpienia dla cierpienia, miała więc w sobie pierwiastek wyfilozofowany. Nie była czynnikiem etycznym, który człowiekowi żyć każe celem zamieniania tego życia w szereg szlachetnych uczynków, ale była tęsknotą do śmierci, ażeby w sferze zaświatowej mózż już na zawsze obcować z Tym, który na ziemię schodzi do wybrańców swoich — w ich wizjach — tylko na chwilę.

Wiara jego była wiara owych średniowiecznych ascetów, którzy dnie i noce przepędzali w modlitwie, biczując grzbiet swój ołowianami dyscyplinami dopóty, dopóki z omdlenia, spowodowanego krwi upływem, przedrażniona wyobraźnia nie poniosła ich przed Piłata, Annasza i Kaifasza, do ogrodu Oliwnego i na Golgotę, gdzie sądzono ich jako zbrodniarzy, gdzie plwano na nich i żelazną prawią ciężkie wymierzano im policzki, gdzie ich odziewano w pur-

¹⁾ Alfred Tennyson: St. Simon Styliles (przekład Jana Kasprowicza. Ateneum).

purę i trzcinę, zamiast berła, w rękę dawano, gdzie wychylali kielich goryczy, przez bożego zniesiony im anioła, gdzie judaszowskie paliły ich całunki, gdzie przybijano ich do krzyża, stawiając ich, duchy czyste i zbawienia świata pragnące, pomiędzy skalanymi, na zgubę tego świata czyhającymi łotrami.

Tracili oni bowiem w ekstazy uniesieniu granice pomiędzy tem, co jest ludzkie, a co jest boskie; jak św. Szymon Słupnik, chęć się wobec bóstwa, że pod względem znoszenia katuszy niema im równego i że za to powinni być wynagrodzeni, albo, jak święta Teresa, wynosili się dzięki cierpieniu ponad klęczące u Chrystusowego krzyża Magdaleny: nad ich miłość większej nie było miłości.

Wiara Teofila Lenartowicza, tak jak się przejawia w jego obrazkach lirycznych, jest zasadniczym tamtej przeciwieństwem.

Nie jest ona ani wypływem dociekań teologicznych, ani emanacją zmęczonego czy zrezygnowanego umysłu filozoficznego, który nie mogąc dojść w drodze empirycznej czy spekulatywnej do zbadania przyczyny wszechrzeczy, rzuca się w objęcia mistycyzmu.

Jest to naiwna wiara dziecka chłopskiego, pełna uczucia, ale także pełna pierwiastków sensualistycznych, uważająca nieraz za prawdę realną to, co według nauki Kościoła jest tylko symbolem.

Jest to wiara, która z rzewną szczerością podaje umarłemu gromnicę, rozwija chorągiew z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed której obrazem pada w kościele na wznak i gorącemi łzami zimną zlewa posadzkę.

Jest to wiara, która ma krzyże przydrożne liśmi tataraku, wiankami rozchodniku i gałęzmi zielonej brzeziny.

Wiara, która kredą święconą w Trzech Króli kreśli na drzwiach chałupy ich znaki i opisuje nią stodoły, stajnie i obory, aby dobytek nie zmarniał.

Jest to wiara, która świętemu Floryanowi każe strzedz słomą krytych chat chłopskich od pożaru, świętemu Walentemu leczyć nawiedzonych „bożą wołą“ (epilepsyą), świętemu Janowi chrzcic wodę w wódolcach, aby pogasił w niej zielska trujące.

Wiara, która suszonemi ziołami, a poświęconemi w Boże Ciało, okadza wymiona bydła, aby więcej dawało mleka.

Wiara, która w wieczór wigilijny nie prędzej nakazuje rozpoczynać z dziewięciu czy siedmiu potraw złożoną wieczerzę, aż gdy się na niebie pierwsza ukaże gwiazda.

Jest to wiara, która wieczerzy tej nie pozwala spożywać inaczej, jak na stole, sianem przykrytym, która pierwszy kasek każe zanieść gospodarzowi domu do obory i rzucić je bydłu do żłobu.

Wiara, która w czterech rogach izby stawia w ten wieczór święty snopki pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia.

Wiara, która powiada, że w noc tę bydło pomiędzy sobą rozmawia.

Jest to wiara, która głosi, że krówka, gdy ze snu wstaje, na przednich klęka nogach i westchnie sobie, niby przy pacierzu, zanim rozpocznie żuć przy żłobie; że bydełko pada na kolana na odgłos dzwonka, towarzyszącego księdzu, gdy do chorego kmiotka z Przenajświętszym spieszy Sakramentem.

Jest to wiara, która uczy, że matka-nieboszczyca, pozostawwszy biedną sierotę w domu, powraca z północksza odwiedzić niemowlę i że duchy dzieci niechrzczonych błakają się po drogach rozstajnych, wołając chrztu świętego.

Jest to wiara, która w czasie klęsk elementarnych łączy przyjaciół nie przyjaciół, wrogów nie wrogów w błagalne procesye.

Wiara, ofiarowująca dzieci chorowite do Najświętszej Panny Gidelskiej, Markowskiej lub Pierańskiej i, w razie uzdrowienia ich, za grosz z pod serca wyjęty skromne zawieszająca wota, wiara, równie silna na katolickich Kujawach, jak i na protestanckich — pomimo przeciwdziałania ortodoksyjnych pastorów — Mazurach wschodnich.

Jest to wiara, radująca serce największego sceptyka w kalendarzach, łyż wyciskająca w suplikacyach, do szpiku kości przesywająca w wspaniałem „Święty Boże! święty mocny! święty a nieśmiertelny!“

Jest to wiara prosta, z gruba ociosana, jak krzyż, postawiony pomiędzy dwiema płaczącymi wierzbami, na kawałku murawy, wśród żyta lub owsa, ręką chłopskiego „fundatora“.

Wiara tak silna, że na jej wezwanie spokojny, pracy nad rolą oddany chłop pójdzie, zawieszwszy szkaplerz na piersiach, w najkrwawszą zawieruchę.

Jest to wiara, wierząca, że w przeddzień Sądu Ostatecznego spłynie na ziemię na płomiennym wozie wielki prorok Eliasz, aby raz jeszcze opowiedzieć słowo boże i ludzi do pokuty przywołać; że staną przeciw niemu dwaj fałszywi prorocy, wysłańcy „Ancykrysta“, który ma się narodzić z Żydówki, że krew się poleje po całym świecie i że, nim zagrzmi trąba „Archanioła“, na świecie tym nikogo nie będzie już z żyjących, że umarli pospieszą na „dolinę Józefata“ i tam, przemienieni w białe owieczki i w kozły czarne, rozstąpią się za wolą Najwyższego Sędziego, że jedne z nich staną po prawicy, a zaś drugie po lewicy — wedle zasługi lub przewiny; że powstanie wielki jęk po jednej, a wielka radość i wesele po drugiej stronie.

Wierzy ona, ta wiara, w piekło, niebo i czyściec, a do męczarni w nich lub radości przykładą miarę spotęgowanych tylko radości lub męczarni ziemskich.

Trójcę świętą, choć wie, jaką jest otoczona jasnością, iż tylko Archaniołowie oglądać mogą Jej oblicze, a zaś dusze zbawione tylko Ją czują, przedstawia sobie przecież zupełnie po ludzku: Boga-Ojca w postaci siwowłosego z długą brodą starca, z berłem w ręce i płaszczu długim, Boga-Syna, z twarzą rozpromienioną zwycięstwem,

które odniósł nad szatanem, kiedy po śmierci swojej do piekieł wstąpił, aby wyprowadzić z nich patryarchów i proroków, na pół obnażonego, z zaschniętą raną w boku, ze znakami czerwonymi na nogach i rękach, na pół odzianego w purpurę, trzymającego krzyż, godło zbawienia; Boga-Ducha Świętego w postaci białej gołąbki, rozpiętej nad Trójcą: dla tej wiary nie są to symbole, uzmysławiające Bóstwo troiste w Jednym, ale mają dla niej znaczenie rzeczywistości. Tak ona je sobie wystawia i tak je maluje na tych rozlicznych obrazach jarmarcznych czy odpustowych, zdobiących ściany każdej chałupy.

Jest to antropomorfizacya, będąca u Lenartowicza, którego poezye religijne z powyższych składają się pierwiastków, znowu środkiem artystycznym, uzmysławiającym jego własne, proste, szczere, naiwne uczucia, jako twórcy-poety, a nie jego poglądy, jako myśliciela.

Folklorysta, krajoznawca czy etnolog w tych uzmysłowieniach, dokonanych ogółem bardzo wiernie według wyobrażeń artystycznych ludu, zawartych w jego obrazach, jego pieśniach (np. w „Kantyczkach“), mógłby obfity znaleźć przyczynek do studyów nad kulturą chłopstwa polskiego; historyk sztuki doszukałby w wielu analogii z „prymitywami“ bizantyńców, Giottów, Fra-Angelików, Lorenzettich, mistrzów staro niemieckich etc.; badacz rozwoju ducha religijnego dopatrzyłby się w nich śladów pojęć, zawartych w Apokalipsie, w Patrystyce, w hymnach św. Bonawentury, Jacopa da Todi, Wenancjusza i innych, płomienną wiarę swą zamykających nie w dociekaniach i spekulacjach filozoficzno-teologicznych, lecz konkretyzujących ją w uczuciu.

Klasycznym przykładem takiego skonkretyzowania wiary w uczuciu poetyckiem za pomocą środków artystycznych naiwnych, prymitywnych są dzieje Chrystusa, zawarte w „Dzieciach nazareńskich“.

Pod względem formy sielanka pasterska, odmienna jednak od wypudrowanych sielanek francuskich wieku osiemnastego przez swoją szczerłość, przez swoją treść religijno-uczuciową

Świat kantyczek: — Nad Betlejem zabłysnęła gwiazda złota; po świecie rozniosła się wieść, że narodził się władca nad władcami król nad królami. I oto trzej mędrcowie ze Wschodu, w koronach na głowie i sukniach złoto-litych, spieszą z darami, trzej możni królowie z wielbłądami i murzynami, ażeby nowo-narodzonego hołdem przywitać. Wieść ta dotarła i do polskiej wioski i oto w ślad owych mędrców podążają Grzegorz, Jąski i Staszki.

— Np.: „Bartos wziął gąskę, Kuba barana, Błazek słodkiego mleka pół dzbana, Jan gomułek porwał z półek, niosąc do Pana“ (Kantyczka: „Szczęśliwe czasy się nam zjawiły...“).

Cztery do Betlejem wiodą drożyny; najlepiej wybrać prostą, jak ta wiara chłopska. Wybrali i poszli i dotarli do stajenki, nad którą gwiazda świeci i czuwa Bóg-Ojciec. W stajence, którą

aniołek poprzęta, Józef, Marya i dzieciątko Boże pomiędzy przeżuwającym wołem i chuchającym osiołkiem.

— Np.: „Osiołek i z wołem stoją przed nim społem, zagrzejają swego pana, upadają na kolana...” (Kantyczka: „Jezus, śliczne kwiecie...”.)

— „Wejdą w szopę, mali Anieli strugali złotą wierzbkę i lipkę, Dzieciątku na kolebkę”.

— Np.: „Jeden kąpiel grzeje, a drugi się śmieje, trzeci pieluszki suszy, każdy rad służy z duszy” (Kant. „W Betlejem przy drodze”.)

Kmiotkowie polscy chcą zaśpiewać Jezusowi małemu, ale za późno: wyszedł rozkaz od srogiego króla, aby wszystkie nowonarodzone pomordować dzieci, więc rodzina święta gotuje się do ucieczki. Panna Najśw. w krasne pieluszki i wstążeczki owija dziecinę, a Józef krząta się około osiołka, który ma ponieść matkę i syna. Idą, a nasi chłopkowie podążają za nimi z darami: z plasterkiem miodu, z dzbaneczkiem mleka, z workiem orzechów leśnych, ażeby uciekającą Rodzinę głód nie spotkał w drodze...

Obraz się zmienia. Ziemia naokół, jak Kwietnia Niedziela; wietrzyk podzwania, ruczaje szemrzą, po polu nad lasem prześliczne mają się kwiaty, mała dziecina bawi się wianeczkiem, nie z lilij i nie z róż, ale z ciernia i głógów (ostatni motyw z Botticellego: Madonna, w „Museo Poldi-Pezzoli“ w Medyolanie). Obok starszych Józef w niebieskiej sukmanie wyciosuje siekierą żłobek sierocy, nucąc: „Kto się w opiekę“, a tam z puszczy przyczają się mały chłopczyna z trzcinowym krzyżykiem (Botticelli: Madonna. Museo Civico w Piacenzy) w rękę, to przyklękuje, to rączki jakby do pacierza składa, a za nim białe pospiesza jagniątko, „to się zatrzyma, to się zacieknie, na cierniach, głogach żałośnie beknie, jako jagniątko...”

Tym chłopczyną to „Janek z puszczy“, przed Panem prostującym drogę Jan Chrzciciel.

Powitanie dwóch dzieciąt bożych, „Jasiuchna“ z Jezuskiem, które ze snu wstają o świcie, razem z skowronkiem, prędej „od rybek, śpiących pod wodą“, rozczuli patrzących na nią chłopków:

„Patrzcie no, Stachu, jak rączki plotą,
Aż mi coś w sercu z radości szłocha,
Dwoje dzieciątek na śmierć się kocha.

Rozczulił się niem i Józef i, rzuciwszy siekierę, wziął Jezusa na ręce. I dziecię boże, jak na owych odpustowych „bohomaszkach“, bawi się siwą brodą piastuna, albo obejmuje go za szyję jedną ręką, a zaś drugą sięga po sześciolistną lilję, wykwitającą z laski Józefowej.

Ale dziecię boże niedługo zabawi na łonie przybranego ojca, spieszo mu spełnić swe zadanie. Wyrzywa się z objęć i bieży, aby z pagórka, u stóp rozwalonego zamku królewskiego, wołać do wzgardzonych i biednych:

„Pójdźcie ubodzy, ja was z bogacę,
Pójdźcie skrzywdzeni, ja wam zapłacę“.

„Janek z puszczy“ z jagnięciem i z trzciniowym krzyżykiem wrywa perze przed nim, oczyszcza z zielska ścieżki i miedze. I naokoło nich gromadzą się niewiasty z Nazaretu, dzieci swoje wiodąc za rękę lub niosąc je z sobą, w zachwycie uklękają przed Jezusem.

Tymczasem przyszła pora obiadowa i oto Lenartowicz śliczną tworzy sielankę, symbolizującą istotę Chrystusowej nauki, która wszystko, co żyje, silną ogarnia miłością.

Do dzieci nazareńskich zlatują się słowiki i skowronki, pelikany i wielkie strusie — na obrazach mistrzów niemieckich natura reprezentowana bywa również przez zwierzęta egzotyczne, — przybiega wiewiórka i lew i wszystko zwierzę, jakie jest na świecie, aby z rąk Jezusa wziąć pożywienie. Wszędzie panuje zgoda:

„Panicz każdemu na rączce poda,
Kaźde pogłaszcze, pobłogosławi,
Z kaźdem pogada, potem odprawi:
Idź, idź, mój strusiu, idź, lwie kudłaty,
Owiec mi nie bierz, nie choź na czaty,
Z Bogiem już, z Bogiem..“

I rozeszło się wszelkie stworzenie, przyjąwszy pokarm boży, naukę Chrystusową, i złociste słońce rzuca z lazurów blaski swoje na ziemię wokoło, że cała ziemia jak wymalowana, a spokojna, a cicha, rządzona mądrością i sprawiedliwością przedwieczną.

(U Jezajasza: „I będzie sąd przemieszkiwał na puszczy, a sprawiedliwość pole urodzajne osiądzie.

„I będzie pokój dzieło sprawiedliwości, a skutek sprawiedliwości odpocznienie i bezpieczeństwo na wieki“. (Rozd. XXXII, 16, 17).

„Wilk z baranem paść się będą społem; lew, jako wół, plewy jeść będzie, a wężowi proch będzie chlebem jego; nie będą szkodzić ani zatracać na wszystkiej górze świętej mogły, mówi Pan“ (Jezaj. LXV 25).

Proroctwo Micheaszowe:

... „i przekują miecze swe na lemieszce, a oszczepy swe na kosa: nie podniesie miecza naród przeciwko narodowi, ani się więcej ćwiczyć będą do boju;

„Ale każdy będzie siedział pod winną macią swoją i pod figowem drzewem swoim“ (Rozdz. IV 3, 4).

Pieśń słoneczna św. Franciszka z Assyżu, w której żywioły i twory przyrody traktowane są jak rodzeni bracia człowieka:

Laudato sie, misignore, cum tucte le tue creature,
spetialmente messor lo frate solo...
Laudate si, misignore, per sora lune e le stelle...

Laudato si, misignore, per frate vento
 et per aere et nubilum...
 Laudato si, misignore, per sor aqua...
 per frate focu
 per sora nostra matre terra... i t. d.

Ale niestety! słońce powoli zaczyna schodzić z horyzontu, a gdzieś tam słychać, jak się ludzie swarzą o ziarno bobu... Dziecko wraca do warstata Ojca, w ślad za nimi (Jezusem i Józefem) kroczą polscy wędkarze; żegnają go pieśnią, którą lud nasz przywykł śpiewać w czasie „Gorzkich żali..“:

„Dobranoc, kwiecie, kwiecie róży,
 Dobranoc, dziecię, Jezu kochany,
 Dobranoc!“

Ale nim się Jezus do snu położy, spożyje z Maryą i Józefem symboliczną wieczerzę, wyrażoną u Lenartowicza nie majestatem pełnym nastrojem Leonarda, lecz spokojnymi barwami słonecznej idylli, poza granicami której czyha jednak mrok. Święta rodzina zasiadła do stołu, nakrytego białym obrusem. Dziecię boże przeżegna się (nakreśli znamię),

„W oczach Józefa bułkę rozłamie,
 Rozdzielili wino Matce, starcowi:
 Jedzcie i pijcie owoce boże,
 Jeszcze wam dodam, jeszcze dołożę,
 I w ustach dzwonią słóweczka ręce:
 Choć krwi z paluszka to wam usączę...“

Tak więc aż do chwili, poprzedzającej śmierć na Golgocie, Lenartowicz, jako artysta, w szeregu „bohomażków, przeznaczonych na chłopską ścianę“, przedstawił nam, łącząc rysy, zapożyczone z Ewangelii i Proroków, z cechami podpatrzonymi w chłopskim obejściu, historię życia Nazarejczyka.

Na początkowych stronicach niniejszego szkicu wspomniałem, że Lenartowicz nie miał w naturze swojej pierwiastku grozy. W wyobraźni jego nie było tych sił, któreby mogły przedstawić tragiczne działanie wielkiego bólu. Rozwiany jest ten ból u niego wszędzie, ale w formach niezmiernie łagodnych, jako smutek i melancholia. Troska u niego to czubek głowy węzowej na „prymitywach“, przedstawiających życie w Raju. Przed tem największem poety zadaniem, przed przedstawieniem tragedii duszy w jej kształtach surowych a olbrzymich, musiał się cofnąć poeta i w „Dzieciach nazareńskich“, zakrojonych na sielanekę. Zakończył on sielanekę nie rozpięciem Mistrza na krzyżu, lecz ułożeniem dziecińcy do snu, nie wyciem rozpasanej tłuszczy, miotającej obelgi na Zbawcę, lecz adoracją chłopów polskich. Zeszli się przed stajenką kobieźnicy i grajkowie, lirnicy i juhasi, ażeby zagrać kolendy i złożyć Panu

dary, uzbierane w polskim lesie i na polskim polu. Złożyli podarunki i odeszli, prosząc w duchu świętą dziecinę:

„O długie zdrowie, o miłą zgodę,
O deszcz na wiosnę, w żniwa pogodę,
O szczęście w kraju,
O pobyt w raju,
O królowanie
Wraz z tobą, Panie,
Na wieki...“

Ten „Raj“ — z którym wchodzimy w analogie Dantejskie — jest również odbiciem realnych stron życia ludu, w ich formie wyidealizowanej, życia na łonie przyrody w jego przez poetę według ideałów Rousseau'a lub greckiej „eudaimonii“ wymarzonych kształtach.

O piekle, czyściecu i niebie napisał Dante poemat, który przetrwał wieki i wieki trwać będzie. O ten sam temat pokusił się Lenartowicz, który, jak wiadomo, wielką dla twórcy „Boskiej Komedyi“ żywił cześć¹⁾. Gdy jednak „Boska Komedia“ była potężnym, o gigantycznych rozmiarach obrazem rozkładających się wieków średnich oraz budzącego się dnia nowego — jako tło i środek artystyczny — a jako idea obrazem namiętności, grzechów, wzlotów, cierpień i ekstaz duszy ludzkiej — gdy w obrębie swych kręgów, w których pokutowali wielcy owych dni zbrodniarze albo rajskiej używali rozkoszy mężowie, wiernie spełniający słowo boże, żyjące w sercu i umyśle surowego banity, gdy więc nieśmiertelna trylogia Danta mieściła w obrębie swych kręgów wszelkie ówczesne pojęcia i zasady polityczne, filozoficzne, teologiczne i moralne, Lenartowicz w utworach swoich — w „Zachwyceniu“, „Błogosławionej“ i „Świętej pracy“ — stworzył stosownie do charakteru swej duszy liryczne obrazki, poetyzujące życie chłopca polskiego, jego wesela, troski i wierzenia. Jak życie pozagrobowe Danta jest odzwierciedleniem, albo raczej symbolem życia wieków całych, czy duszy ogólnoludzkiej, tak życie pozagrobowe w „Zachwyceniu“ i „Błogosławionej“ jest odbiciem urzędzeń, pragnień i dążeń, radości i smutków i trosk ciasnego życia doczesnego duszy ludowej polskiej.

Stosownie do wyobrażeń ludowych, które rozróżniają raj od nieba (tak samo jak od „piekła“ lud odróżnia „ciemnicę“, w której przed wybawieniem przez Chrystusa pierwsi przebywali rodzice, patryarchowie i prorocy i cnotliwi mędrcomie pogańscy) widziała „Zachwycena“ przedewszystkiem Raj.

Pejzaż: Raj to ogród, otaczający dworzec niebieski.

¹⁾ Wyrazy uwielbienia w „Prelekcyach bolońskich“, przekład 25 księgi „Piekła“, wiersz „Na pomnik Danta“ etc.

W ogrodzie tym pełno drzew, jak w sadzie chłopskim. Na drzewach wiszą złociste owoce: to dusze najczystsze, które za żywot cnotliwy poprzemieniane zostały w te jabłka i grusze kosztowne (Baśń ludowa o Madeju rozbójniku).

W niebie, jak na chłopskim polu, rośnie pszenica, rosną przeróżne zioła, które również są duszyczkami.

Na tle tego pejzażu idylla pasterska: Jezus jako pasterz boży (symbol chrześcijański: Chrystus z owieczką na ramieniu, pomiędzy innymi w katakumbach Kaliksta w Rzymie) pasie białe baranki, znowuż dusze, co cierniowe przeszły męki, których życie doczesne było ofiarą (w chrześcijaństwie zarówno, jak w judaizmie — ofiara Izaaka między innymi — baranek był godłem ofiary; baranek boży, Chrystus, cierniową nosił koronę). Obok Jezusa Najświętsza Panna przędzie na koszulki dla biednych sierot „babie lato“ (zwane u ludu także przędzą Matki Boskiej). Robota idzie raźnie i z przędzy tej wszystkie sieroty miałyby okrycie, gdyby nie prosty wietrzyk (troska „Jagody“ o kwartę soli, czubek łba węzowego na „prymitywach“), który, silniejszym będąc od zamyśłów po ludzku pojętej Królowej Niebios (stosunek sił ludzkich do żywiołów Przyrody), nici jedwabne zrywa. Sielanka chłopska nie obejdzie się bez ligawki lub skrzypiec: więc są w niebie anieli, którzy na złotych grywają skrzypcach, nauczywszy się przeróżnych pieśni — tam, gdzie jej się uczą „ptaki niebieskie“ i „nasi ludzie“:

„W rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości bożej“.

Jak pomiędzy przyrodą a człowiekiem, tak pomiędzy niebem a ziemią ścisły jest związek. Widać stamtąd i chałupę wiejską i dziewczę, zbierające ziele, i dziada proszalnego i kmiotka przy pługu i wszystko, co się na ziemi dzieje. Aniołowie patrzą złotymi gwiazdami; litość nad nędzą ludzką tak ich wzrusza, że płaczą rosy: kroplami. a „od tej rosy, od tej litości, zboże się pleni“ (morał niczem praca ludzka, gdy jej nie pobłogosławią moce niebieskie). Gdy zaś protegowani ich grzeszą, wówczas bledną, radując się natomiast z każdego dobrego uczynku.

Grzechy i wszelkie przewiny oraz dobre uczynki człowieka zapisuje apostoł Piotr do wielkiej księgi, którą trzymają dwaj płomienni anieli (analogon: „I widziałem po prawej ręce siedzącego na stolicy księgi napisane, wewnątrz i zewnątrz zapieczętowane siedmioma pieczęciami... I widziałem anioła mocnego, wołającego głosem wielkim: kto jest godzien otworzyć te księgi? odpieczętować pieczęci ich?!“ Objawienie św. Jana, R. V, 1, 2), lub, jak podczas procesyi Bożego Ciała trzymają ewangelię celebrującemu dwaj ministranci.

W niebie wiadomem jest wszystko, co się na ziemi stanie: jeżeli kto ma umrzeć, wtedy jeden z aniołów wymienia jego imię i nazwisko.

W obrazach tych stosunek człowieka do Boga jest patryarchalnym stosunkiem służby do pana i odwrotnie.

Dusza-służebnica (w „Błogosławionej”), otrzymawszy skrzydełka ptaszka, nad czoło mały, świecący krążek i jasną z niebieskich wstążek przepaskę, wchodzi do nieba, jak najmitka w progi życzliwych jej gospodarzy: nasamprzód pokłoni się, a potem ucałuje koniuszek sukni świętych patronek i pod ich opieką przechodzi niebieskimi przybytkami, spotykając co krok świętych, naturalnie tak, jak ich widziała na obrazach w kościele lub w domu, ze wszystkimi ich godłami, z aureolą ponad głową.

Odwrotnie: istoty, spotykane w niebie — chlebowdawcy — wielce są dla niej życzliwe. Ledwie zdołała nadmienić coś o sierocie, którą pozostawiła na świecie, a już zlecieli aniołowie na ziemię, jeden z rajskimi jabłuszkami do jej dziecka, drugi z kroplą wody krynicznej do czyśca, zwilżyć usta jej matki, trzeci nad rzekę do pasącego owce jej kuma, aby nauczyć go rozpoznawania różnych ziół, dla leczenia bliźnich, inny znowu spuszcza się do jej brata, aby mu dodać sił do zniesienia męczarni gdzieś na dalekim, zapewne sybirskim, wygnaniu.

W niebie tem, jak w kościele, dźwięk organów łączy się ze śpiewami ludu, rozbrzmiewają anielskie głosy i melodye, a pieśń, która się naokół rozlewa, to znane duszyczce z tamtego jeszcze świata pozdrowienie: „Zdrowaś Maryo! Zdrowaś Maryo Panno, Pan z Tobą!...“ (NB. Nabożeństwo majowe).

W tym patryarchalnym stosunku Boga-gospodarza do człeka-służebnika leży podniesienie ciężkiej pracy chłopskiej na wyżyny przewspaniałej cnoty, godnej największej nagrody: w pobliżu Boga, którego jednak dusza z powodu wielkiej jasności widzieć nie może (pokora chłopa wobec „jasnego pana”), a tylko go czuje,

„Na wyrabianej srebrzystej tacy,
Leży kłos złoty rolnika pracy“, —

leży, obok innych cnót kardynalnych i ich godeł, obok „nawróconej łezki grzesznika“ (brylantowa gwiazda), obok „waleczności rycerskiej“ („puklerza-miesiąca“, który „zastaniał biednych pasterzy i dla miłości żywego Boga bronił samego wroga od wroga”), obok „ciężącego jak młyński kamień ze złota“ grosza wdowiego, obok korony bożej „z okrutnych cierni“, ponad którą anieli niosą krzyż Pański,

„... co ramiony ogarnia wieki,
Taki ogromny, a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może“.

Oglądanie tych niebiańskich symbolów, a raczej alegorii, jest nagrodą za to, co ma być początkiem i końcem życia, za dobroć

serca (prof. St. Tarnowski słusznie zauważa, że jedną z cech głównych Lenartowicza była „dobroć, przeradzająca się nawet w miękkość zbyteczną“):

„Maleńkie serce jakby z koralu;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie
I ta, co ziemskie życie ozłaca
Nieustająca, spokojna praca“.

Dalszy ciąg związku nieba z ziemią i personifikacja sił przyrody tkwi w postaciach mitologii chrześcijańskiej.

Ta nieustająca praca kończy się dla człowieka dopiero w niebie: tutaj może on sobie, jeżeli chce, po rajskim biegać ogrodzie, albo wylegiwać pod złotą jabłonią, albo w srebrnej łodzi pływać po niebieskim jeziorze, wybrawszy sobie wiosłarzy do woli — o jasnych skrzydłach, różanej twarzy. Opatrzność boża sama słoneczny chleb dla człowieka piecze, a potrzeba mu sukni na przyodziewko, tak mu zaraz aniołowie srebrną albo złotą tkają lamę.

W niebie jest całe gospodarstwo, a poszczególne prace wykonują święci. Praca ta ukazuje się w skutkach swoich na ziemi.

Święta Urszula strzyże w niebie owieczki, które nad ziemią po firmamencie pasą się w kształcie obłoków. „A gdy na całej nieba przestrzeni w krąg się zaciemni i zazieleni“, święci kosarze siekają kosami złotymi niebieskie siano. Kosa od czasu do czasu natrafia na kamień i wówczas na ziemi zjawia się błyskawica. A skoro posieką i sianem potrząsą, wówczas, jeżeli to jest rano, niebo nad ziemią błękitnieje, a jeśli wieczór, to gwiazdy zaświecają ogniste.

Po zakończeniu swej roboty święci zostawiają czasem swój sierp, który jest księżycem.

Gdy ziemię śnieg pokryje, wtedy na niebie święta Łucya dnia przysparza, aby ludziom było jaśniej, a gdy już tyle złotych rozrzuci promieni, że słońce w kościele pada na chrzcielnicę, zjawia się Agnieszka święta i na wywiady pierwszego na ziemię wypuszcza skowronka. Nie wróci on śpiewak wiosenny, to jest to hasłem dla innych ptasząt, że spadają gromadnie nad sioło, by zwiastować lato.

Święty Grzegorz rozkazuje złocistym swym pastorałem Wiśle, aby lody zrzuciła ze siebie, a święty Wit zbożom, aby się piętkowały. Milknie też na jego skinienie ptactwo śpiewające („Święty Wit słowik cyt“), natomiast w pełnym lecie szeleszczą dojrzałe owsy, brzęczą jęczmiony, grają komary i pszczoły.

Święty Wawrzyniec strąca dziewczętom orzechy z leszczyny, a święty Bartłomiej ostrzy w niebieskich siekiere, a na znak ten padają po lesie drzewa stare, święci zaś Szymon i Juda sprowadzają na świat przymrozki i grudy. W ślad za nimi atoli spieszy święty Marcin na białym koniu i kawałami srebrnego płaszcza otula zziębniętą nędzę ludzką.

„Tak to po niebie praca wciąż snowa,
Jak z ust poczciwych serdeczne słowa“.

(„Święta Praca“).

Żyją więc święci i dusze zbawione, według relacji „Błogosławionej“, tak samo podług kalendarza, jak dobrzy gospodarze na ziemi.

Szczęśliwy ten, kto się w tę górną dostanie krainę, natomiast gore duszom, które grzechy zawiodą do Czyścica, a jeszcze straszniejsze, bo nieustające, męczarnie czekają tych, za którymi zawarły się bramy Piekła.

W malowidle tych przybytków płaczu i niedoli zlewają się wyobrażenia gminne z reminiscencyami dantejskimi.

Czyściec to wielka pustka ¹⁾ — jedna z pustyń dantejskich, — żadna nie wyrośnie trawka, gdzie ciągły jęczy wichur, od którego zimna biedne drżą dusze, krwawiąc sobie nogi po twardej grudzie. Do dusz tych schodzi czasem na ich prośby anioł boży ²⁾ z pociechą, z koroną Chrystusową, z której krople krwi spływają. Widok jednak tego symbolu męczeństwa w większe jeszcze wprawia skazanców cierpienia: jest to żal, że w doczesnej podróży swojej sprawiali występki boleść Ukrzyżowanemu. Dusze doznają pewnej ulgi, odmawiając modlitwę: „Zdrowaś Maryo“ ³⁾, przenika je wtedy ciepły promyczek, łagodząc przejmujące zimno.

¹⁾ Dante: Purgatorio:

Dianzi venimmo innanzi a voi un poco
Per altra via che fu si aspra e forte,
che lo salire etc. Canto II (W przekładzie Porębowicza:
Chwilkę przed wami przez takie pustynie szliśmy i takich urwisk
zawieruchy, że wyjście w górę fraszką będzie ninie).

²⁾ A noi venia la creatura bella

Bianco vestita -- (Anioł szedł ku nam w szacie śnieżno-
białej — Porębowicz), Cant XII Purgatorio.

³⁾ E poi che fummo un poco piu avanti,

Udi gridar: Maria, ora per noi —
(„Gdyśmy podeszli, owi smutkiem zdjęci,
Wołali: „Módl się za nami, Maryo“.

Czyściec. Przekł. Porębowicza). Canto XIII.

Albo:

Se orazione in prima non m'aita,
Che surga su di cor che in grazia viva:
L'altra che val, che in ciel non e udita?
(Chyba, że tam mnie modlitwą wesprzecie,
Jeśli z serc w łasce żyjących wynika,
Bo inna w niebie nic nie waży przecie“.

Przekł. Porębowicza). Purgatorio, Canto IV.

Ale jest to, na wzór kręgów Dantowych, jedna tylko stacya. W następnej, razem z „Zachwyconą“, widzimy stromą, ponurą skałę ¹⁾, a na niej rzędem siedzące dusze, spoglądające na puste żywota swego pole, po którym snują się występki przeciwko czystości i inne marne uciechy. Widok ich napełnia pokutujących uczuciem niesłychanego wstydu, zasłonić jednak oczu nie mogą, ponieważ ręce mają kryształowe.

Inne dusze wołały: „miłości ludzi i łaski nieba“, zaś inne, dzieci niechrzczone ²⁾, domagały się jękiem chrztu dla zmazania pierwotnego grzechu. Z nimi najłatwiejsza jest sprawa: wiara ludu uczy, że upiory takie, zjawiające się w postaci skrzatów nad drogami, wystarczy przeżegnać, a od razu przemieniają się w aniołki.

Uczyniła to i „Zachwycona“ i dzieci uleciały w przesłicznym obrazie do nieba:

„Prześliczne duszki, od puchu letsze,
Wzlatują w górę i nad mą głową
Wiszą plecionką złotą, różową,
Im wyżej lecą, tem nieznaczniejsze,
Coraz to mniejsze, coraz to mniejsze...
Jeszcze znać słodki uśmiech aniołków
I lekką odzież barwy fijołków,
Wreszcie znikają, jak krople rosy
I nic już niema, tylko niebiosy“.

Motyw anioła, schodzącego do dantejskiego Purgatorio często się powtarza:

... Fa, fa che le ginocchia cali;
Ecco l'Angel di Dio: piega le mani:
Omai vedrai di si fatti ufficiali.
(„Prędziej! o prędziej! padaj na kolana!
Anioł to Boży! złóż ręce, skłoń lice,
Wnet ujrzysz więcej takich rabów Pana“.

Przekł. Porębowicza). Purg. Pieśń II.

Pełno tego Anioła we wszystkich pieśniach.

1) Jak wiadomo, Czyściciel Dantego ma kształt góry:

Noi divenimmo intanto appiè del monte:
Quivi trovammo la roccia si erta,
Chi indarno vi sarien le gambe pronte.
(W tem już pod góry przyszlśmy posadę.
Spójrzę: opoka takim pionem sterczy,
Że stopy po niej darmo piąć się rade.

Przekł. Porębowicza). Purgatorio. C. III.

2) Według znanych powszechnie wyobrażeń ludowych.

„Przez tych dzieci kryształne ciała“ zobaczyła „Zachwycona“ raz jeszcze niebo w czyszcę — głęboko odczuta, a prostą przenośnią uwydatniona myśl o wielkości „maluczkich“ — i potem po drodze przez „jakieś zgniłe, cuchnące łąki“, po liliach białych, które pięknie wprawdzie wyrosły, ale w których kielichy „Szatan nalał swej trucizny“, przeszła do Piekła, gdzie znowu reminiscencye z „Boskiej Komedy“, silniejsze, niż w obrazach Czyścica, łączą się z naiwną wiarą ludu.

Na wstępie przywitała „Zachwyconą“ jakaś rodzina, przedstawiająca obłudę: członkowie jej płakali razem, okazywali wzajemnie współczucie swej nędzy, a jedni drugich kłuli pod serce. Tak, jak ludzie, na stacyi tej piekielnej wszystko jest kłamliwe: zwiedzająca wyciągnęła rękę po kwiat złocisty, który rósł u jej stopy, ale kwiat ten podniósł, jak żmija, łeb do góry i zaczął syczeć..

Szatan dwojaką ma postać: czasem, jak ów czarny duch, a czasem jak anioł; raz ma obrzydliwy lot nietoperza i cały świat ogarnia, niby siecią pajęczą, swem piekielnem technieniem, a innym znowu razem, jakby „okryty zorzą, udaje mądrość i piękność bożą“ („Lucyfer“).

Ale po tych alegoryach chrześcijańsko-dantejskich następują obrazy, żyjące w pieśniach i podaniach ludu. Zaśmiało się raz piekło, gdy „pani zabiła pana i w ogródku go schowała“, innym razem, gdy śpiewanie zgłuchło w kościółku, a po raz trzeci, gdy w sercach ludzi zagasła miłość ku ziemi.

I dalej widzimy na madejowem łożu ryżobrodego zdrajcę (analogon ryżego Judasza jako symbolu zdrady), oblanego wodą śmiertelną, opasanego węzłem o złocistym ogonie (zapewne aluzya do złota, które wziął zdrajca nad zdrajcami, Iskaryota). Z pod tego łoża dobywają się płomienne języki, wielkie jak drzewa, a pod niemi siedzą ci, którzy zatruli młode, niewinne życie; obok nich twarze ludzi fałszywych, oszczerce ze spiekłymi, po pas wiszącymi językami, które „drgają węzowem, czarnem żądłem“ (znowu alegorye dantejskie).

Ewangeliczna dobroć poety napiętnowała zdradę, rzuciła ją na łoże madejowe, zlitowała się zaś nad samym zdrajcą, Judaszem, który u Danta znosi katusze w ostatnim kręgu Piekła, w jednej z trzech paszcz Lucyfera, na którego jednak u Lenartowicza spojrział Chrystus wzrokiem bolesnym; Chrystus, co piekło zwyciężył cierpieniem, żadnych nie zadał mu męczarni, tylko na pamięć zbrodni (zbrodnia jest złem absolutnem, zbrodniarzom, jako ludziom z natury ułomnym, przebaczyć należy) pozostawił mu worek złota, zrosnięty z ręką...

We wszystkich sielsko-religijnych obrazkach Lenartowicza wybitne zajmuje miejsce — nie dekoracyjne, lecz istotne — kult Panny Maryi.

Poza poezją swoją Lenartowicz kult ten pojmował głęboko, abstrakcyjnie, niezależnie od zwykłych przemijających konjunktur

życiowych. Jako symbol nieskalanego piękna i harmonii niebios przeczuwali ją starożytni filozofowie greccy: Pytagoras, Hipparch, Filolaos, Arystarch z Samos, oddając jej cześć w postaci „Veneris Uraniae“, będącej odpowiednikiem chrześcijańskiej „Gwiazdy porannej“ — „Stellae matutinae“, a czcili dlatego, ponieważ, jak mówi Goethe — „w najtajniejszej głębi dusz naszych przebywa pragnienie i żądza ofiarowania się dobrowolnego i z wdzięczności niejako parte natury naszej uczucie, tak, że nawet najupartsi sceptycy składają hołd Przyrodzie, zwąc ją matki imieniem“. „Stąd dla duszy chrześcijaństwa — mówi Lenartowicz — słodka a nieodzowna konieczność wysokiej czci dla Matki Chrystusa, początku duchowej generacji życia. Przejęty boskiem uczuciem tem Dante składa jej hołd rzewny a wielki, przedstawiając ją w swym „Raju“ w kształcie różny mistycznej, świecącej wszelkiemi cnót i zasług wdziękami, promiennej niewymowną, idealną chwałą.

„Goethe widzi ją w metamorfozie swej „Fausta“, gdy piękna Margareta wznosi się na wysokościach ku Maryi, Matce Chrystusa. Pytagoras przeczuwa i czci ją pod imieniem „Venus Urania“, ponieważ bez tego wieczystego ideału niewiasty żadna idea nie może przybrać odpowiednich kształtów ni harmonizować z treścią wypadków“¹⁾.

Tak pojmował Lenartowicz „Bogarodzącę Dziewicę“, jako, że tak powiem, człowiek prywatny; w wierszach jednak swoich, z chwilą, kiedy nadawał jej kształt plastyczny (w sielance „Najświętsza Marya Panna Studzieniecka“, albo nawet w „Hymnie“, rozpoczynającym się od metafizycznego tłumaczenia genesis Maryi Panny :

„Na początku było Słowo,
A Słowo idące od Boga,
W czystość ciała liliową,
Przyjęła Panna uboga
Przez Świętego Ducha wiew...“),

tak samo tam, gdzie ją podnosi do symbolu cierpienia („Stabat Mater“), pojęcie metafizyczne, pytagorejskie, czy kopernikowskie

(„Felix ante sacras una puellulas
O aurora serenum
Velox luciferum vehe!
Virgo summa Maria,
Qua flavam religet comam“)

kostnieje, przybiera realne kształty istoty fizycznej. Bogarodzica zmienia się w dobrą Panią, w Jałmużnicę, w Pocieszycielkę i Le-

¹⁾ Wykłady na wszechnicy bolońskiej. Z prelekcji o Koperniku. Cfr. Dr. Sas: „Przewodnik nauk. i literacki“ 1887.

karkę, usuwającą niedolę ludzką, gaszącą pożary, uzdrawiającą ślepców i chromych, strzegącą dobytku ludu przed wylewem rzek; rozlacza opiekę swoją nad całą ziemią, przybiera emblematy państwowe, staje się władczynią narodu, której hołdy składają i lud i rycerstwo („Zachwycenie“, „Najświętsza Maryja Panna Studzienniecka“). Staje się pośredniczką pomiędzy niebem a ziemią, modlącą się do Syna swego za grzesznymi („Salve Regina“), staje się czynnikiem, który ma człowiekowi ułatwić konanie, zgasić w nim żal za słońcem, powietrzem i obłokami doczesnego życia („Stabat Mater“), a niepokalane jej poczęcie i wielka jej zbożność mają być źródłem przebaczenia winy Polsce i w chwilach zawieruchy, w chwilach nawałnicy nieszczęść stać się źródłem światła, w którym ma promienieć kościół („Hymn do Matki Boskiej“).

V.

Najmniej pociągający w każdej poezji pierwiastek, polityczny czy społeczny, prawie zawsze powodujący za sobą tendencyjność, nie raz i w utworach Lenartowicza, ponieważ nie ma charakteru stronniczego mędrkowania, ale integralnie związany jest z uczuciem.

Twórczość poetycka nie wyklucza żadnego tematu — kwestye polityczne i społeczne, wielkie odkrycia naukowe mogą być tak samo uwzględnione, jak n. p. miłość, idzie tylko o to, ażeby, nim się oczom naszym objawia w kształcie artystycznym, przeszły przez filtr uczucia. Wówczas też będzie nam obojętne, czy hasła, zasady i myśli, głoszone przez poetę, są utarte lub świeże.

Prof. Tarnowski¹⁾ może ma i słuszność, twierdząc, że myślowa strona poezji lenartowiczowskiej, o ile ujawnia się w hasłach politycznych i społecznych, nie ma cechy nowości; że patryotyzm i demokratyzm twórcy „Bitwy Raławickiej“, apologety „Borelowskiego“, „Blankenheima“, „Frankowskiego“ i in., wspólny był szerokim warstwom społeczeństwa, a wypowiedany i krzewiony daleko silniej, daleko jaśniej i dobitniej przez innych, dziennikarzy, mowców, polityków, agitatorów społecznych.

Mimo to jednak tej strony twórczości Lenartowicza pomijać nie można, gdyż była ona integralną częścią jego serca, stała się w poezji jego wyrazem uczuciowym.

Miłość ziemi rodzinnej i miłość ludu oto sedno polityczności i społecznikostwa naszego poety. Miłość ta wytwarzała w nim pojęcia, które nie różniły się od charakteru, znamionującego wielką poezję Mickiewicza, były tylko w inną, słabszą ujętą formę, choć i Lenartowicz zdobywał się na zapał i siłę niezwykłą.

¹⁾ Cfr. studjum prof. Tarnowskiego o Lenartowiczu w „Prze-głądzie polskim“ 1893.

Pomimo spokoju, jakim wogóle oddycha pieśń „mazowieckiego lirnika“, wychyla się z niej duch przedewszystkiem rewolucyjny, do paktowania z wrogiem nieskory, widzący czynniki zbawcze nie w zozydzanym przez Mickiewicza rozsądku dyplomatycznym (który „nie jest trybunałem na sądenie spraw, dotyczących się wieków i pokoleń, który jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego“¹⁾), lecz w bezgranicznym, bezwzględnym, nie oglądającym się na doraźne korzyści czy niekorzyści, poświęceniu.

Jeszcze w r. 1850, kiedy wychodźców nakłaniano do proszenia cara o amnestyę, wy dobył Lenartowicz z lutni swej ton („Wygnańce do narodu“), nie mający w sobie nic a nic z owego idyllicznego poszumu zbóż i lasów mazowieckich, ale będący raczej szczękiem kajdan, któremi potrząsa dumny, nieugięty niewolnik, świadom, że go w nie zakuła ręka niesprawiedliwości, nikczemna i podła, ale licząca się z końcem panowania swego, licząca się zaś z tego powodu, ponieważ sama wie, że złe, dlatego właśnie, że jest złem, zginąć musi.

W głębokim micie Zend-Avasti zwycięstwo Ahrimanowe jest tylko czasowem: Bóg słońca, pan wszelkiego dobra, Ahuramazda, otoczony chórem bojowników swoich, amszaspantów, duchów światłości i odradzającego się życia, zatoczy w państwie mroków błyskawiczne swe koła i nad jestestwami zawładnie na wieki.

W tem też właśnie przekonaniu odezwał się wówczas Lenartowicz imieniem wygnańców polskich do narodu, wołając, że „jeszcze nie umarła“, że tułacze, wierząc w to, wytrwają w trudzie ojczystym i, wierni hasłu swojemu, przed wrogiem karku nie zegną, choćby ich „odepchnęły ludy znikczemnione“, a choćby nawet własni bracia za upór ten miotali na nich przekleństwa. Car niech sobie zniewala samychże nawet Polaków, niech sobie zhołduje świat, niech na śmierć zgębi ojczyznę, ludzie, wierzący w jej zmartwychwstanie, choć na nich plwać będą, choć ich włóczyć będą przed „tyrany przedajne“, z tęsknym uśmiechem wypiją gorycze, a z czoła chrztu polskości zetrzeć sobie nie pozwolą.

Wiedzą oni, że „umarł, kto się śmierci boi“ i że przeklęty będzie ten,

„Kto łamie pałasz, kto opuszcza braci,
Kto się ubogiej swej matki zapiera,
Kto krwią ojczyźnie długu nie wypłaci,
Taki, słuchajcie! na wieki umiera“.

Nie moją rzeczą wchodzić, czy Lenartowicza wiersz był „rozumny“, stwiedzam tylko, że jest w nim silny pierwiastek liryczny.

¹⁾ Mickiewicz: „O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych“. Art. w „Pielgrzymie Polskim“ 1833.

I po roku 1863 duch poety nie stracił płomiennosci uczucia; i wówczas z duszy jego popłynęły słowa, pełne żalu i gniewu, i wówczas tonem Jezajaszowym błogosławił umarłym, ubolewał nad upadkiem ducha ¹⁾, wypowiadał nadzieję.

Wierzył, że na gnębieli ojczyzny przyjdzie pomsta boża, a wie-
rze tej silny daje wyraz w poemacie „Petersburg w ogniu“.

„Jest jakaś ręka niewidzialna w wietrze, co nie ustawa, do-
pokąd nie zetrze, cokolwiek przeciw prawdzie wznosi czoło“ — roz-
poczyna poeta swoje prorocтва. Ta ręka niewidzialna, ta siła spra-
wiedliwości, drzemiącej w obrębie wszechświata, przenikająca jego
atomy, podłożyła głównię pod stolicę nadnewską, co „się wylęła
jak żmija z błota“, i to

„Miasto przepychu, zgrozy, zbytków, złota,
Naśladujące Sodomę, Niniwę
I inne, które pożarł ogień boży,
To miasto więźni, miasto bachanali,
Gdzie zbytek szalał Babilonu gorzej —
Słuchajcie! straszne to miasto się pali..“

I płomienne palce tej ręki straszliwej rozszały się coraz to
bardziej, ściskając się zarówno nad pałacami, jak i nad głowami
motłochu. Tworzyły się bramy ognia, w kanały przecinające mia-
sto, spadały konie i wozy, uciekające przed tym okropnym pożarem.
Na Newie zaczęły płonąć żagle okrętów, jak białe skrzydła olbrzy-
mich ptaków, i odpadały w wodę spopielone. Słychać było naokół
ryk i huk dzwonów, a wśród tego widywano przelatujące wojsko
niewolników. Duch poety, „napiwszy się własnych łez słonych“, wił
się, jak salamandra w łodzi po wzburzonej rzece, a przed oczami
jego upadały w proch głowy starców siwobrodych, którzy obrazami
świętych usiłowali od domów swoich odwrócić pożogę.

Okolo pomnika Piotra Wielkiego stanął car przerażony, nie
wiedząc, dokąd się zwrócić, a przy nim symbol rewolucyi społecz-
nej, po wiekach zbudzony duch Spartaka przypatrywał się spokoj-
nie temu zniszczeniu, swobodnie oddychając w płomieniach. Pierś
jego szeroka nie zna litości, a z oczu i uśmiechu śmierć mu wy-
gląda. Duch ten

„W rękach kajdany trzymał jakby węzły,
Które mu w ciało do kości uwięzły.

.

Nozdrzami wciągał dym, jak powiew wonny
Gdy w dali ogniem czerwieniała woda,

¹⁾ Wiersz do Wł. Dzwonkowskiego, drukowany po raz pierwszy
w „Tygodniu“ (dod. lit. do „Kur. lwow.“) Nr. 8. 1893.

Patrząc na cara, to na posąg konny,
Jakby urągał im słowem: „swoboda!“¹⁾

Po tym groźnym obrazie przesunęły się przed oczami pieśniarza cienie polskie, podobne do złotych posągów, w dziwnie anielską odzianą tęsknotę, roztapiając się w tem niebie „gniewnem, aż car przerażony począł ocierać by łzy krwawe z oczu“. Znikło i to widmo, pozostał tylko posąg Piotra, „co tak z bronzu świecił, jak gdyby konny szatan w ogniu leciał“.

Próżno wrzeszczano o ratunek od Moskwy — i ta stolica Iwana Groźnego od dwóch dni w płomieniach, a z nią kraj cały:

„Pożar na polu zboża, lasy kosi. —
Miasta i wioski płoną jak pochodnie,
Które zapala straszna pomsta nieba,
Ta zemsta boża, która ściga zbrodnie..“

Wierzył Lenartowicz w pomstę bożą, wierzył, że z tego „pożaru“ wyjdzie Polska odrodzona, a wyjdzie dlatego, ponieważ ma lud, którego bohaterstwu wystawił pomnik w „Bitwie racławickiej“.

Ta polityka uczucia, każąca mu przez usta „św. Franciszka z Paulo“ gromić królów za „krzywdzenie ludzi“, polityka, złorzecząca despotom, kazała mu wierzyć w braterstwo ludów, a zwłaszcza w pojednanie narodów słowiańskich, których rozterki dawno powinny były zatonać w krwi, wylanej przez Polaków.

Słowiańszczyzna jest jak święte jej drzewo, jak lipa, której korę Niemiec obdziera, rąbie Wareg, a która jednak jest silną i każdego lata okrywa się kwiatem. Słowianie przetrwali długie burze dziejowe: Polska stoi schyłona nad grobem, mogliły sterczą na Polu Kosowem, w Czechach światosławnych, w wielkiej Morawie płynęła krew obfita, Pomorze Niemiec zmienił w swe warstwy — i czyżby już nie miało stać się z tej lipy słowiańskiej, jak tylko krzyż i obcy warsztat na naszej grzędzie? („Na lipę słowiańską“).

Nie! przyjdzie czas, że po świecie „zagędzie stara gęśl“, z lipy tej zrobiona, i „że świat się podziwi słowiańskiej kolędzie“.

Przyjdzie czas, że znowu nas wszystkich powiąże

„Ten, co ziemię Sławy
Powiązał wstęgami Dniepru i Mołdawy.
Górami ogrodził od dalekich światów,
Grzbietami Kerkonosz, śnieżystych Karpatów,
I ta myśl szczęśliwa, co z nieba przybywa,
Jak wietrzyk chwalony w upalone żniwa“.

¹⁾ Obrazy te znalazły częściowe urzeczywistnienie w współczesnych nam wypadkach.

Przyjdzie czas, że „bracia Czechowie, Serbowie, Rusacy, Morawcy i bracia od Bośni radośnie ku sobie poskoczą i do wspólnego zasiądą wiecu“. („Do braci rodu słowiańskiego“).

Idealizm i optymizm sielanek jest także zasadniczą cechą pieśni politycznych Lenartowicza.

Nie obdarzony zbyt górną, zbyt rozlewną, zbyt płomienną wyobraźnią, Lenartowicz brak ten okupywał szczerością uczucia.

